

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 1 grudnia 1946 r.

Nr 42 (53)

Jacek Brzym

Czwarty drogowskaz

Polemiczny artykuł w „Dzienniku Polskim“ z jedną z naszych „perspektyw Odry“ zahaczył o ważne zagadnienie, o najważniejsze bodaj zagadnienie naszej polityki zagranicznej, o nasz stosunek do Niemiec, jego programowy kształt, o drogowskaz, jak to autor określił. Wszystko, co w tej sprawie dotąd się pisze i robi, jest tylko sygnałem, sygnałem jest także nasza rubryka „Co robią Niemcy“, bo jako sygnał była pomyślana (w lipcu 1945 wydawało się zresztą jeszcze, że na długo nam wystarczą same sygnały). Tymczasem sprawa Niemiec przybrała nieoczekiwanie szybko rozwój w kierunku coraz większej swobody politycznej i coraz bujniejszej regeneracji przemysłu, życia kulturalnego i td. Taki obrót sprawy zaskoczył nas niemiło, nie byliśmy na to przygotowani i dlatego dziś stoimy wobec Niemiec bez jasnego i rozumnego programu, bez własnego drogowskazu, obciążeni za to dziedzicznymi uprzedzeniami. Slogany nie zastąpią programu, choćby ich istnienie było słuszne i uzasadnione. Co robić?

Próby zarysowania takiego programu pojawiają się. Najwartościowszą pozycją z tej dziedziny to Osmańczyka „Sprawy Polaków“. Próba to śmiała i oryginalna. Nie spotkała się niestety z żadną rzeczową krytyką. Wprawdzie polemizowano z nią w kilku prowincjonalnych dziennikach ale polemiki te ani nie zdołały obalić argumentów Osmańczyka ani wnieść rzeczy nowych.

Chodzi o drogowskaz, słusznie. O drogowskaz, odpowiadający w pełni naszemu doświadczeniu historycznym, naszemu aktualnemu interesowi narodowemu, a także, jeśli chce być drogowskazem w pełni realnym — międzynarodowemu klimatowi politycznemu. Te zasady, które wydają mi się słuszne i niewzruszone, nie pozwalają iść prosto podług jakiegokolwiek istniejącego już drogowskazu. Musimy postawić własny.

Rzecz dziwna, że nieprzyjaciele koncepcji Osmańczyka, przeciwstawiając mu drogowskaz sowiecki („antyniemiecki“, jak twierdzą, choć takim być on nie może, nie zniosłaby tego choćby tylko socjalistyczna ideologia panująca w Rosji), nie zauważyli, iż wyrosły one z myśli Stalina. „Hitlerzy przychodzą i odchodzą a naród niemiecki żyje“ — te słowa padły w momencie, kiedy jeszcze dymiło się nad Niemcami od klęski i kiedy Europa, oszołomiona zwycięstwem, o przyszłości Niemiec myślała mało i bezprogramowo. Te słowa były dla Niemców pierwszą otuchą lecz równocześnie był to także pierwszy drogowskaz, zarys całego wielkiego programu, realizowanego potem konsekwentnie we wschodniej strefie okupacyjnej. Rosjanie mają drogowskaz. Cechą jego jest mariaż realizmu politycznego z konsekwencją ideową - socjalistyczną. Rosjanie nie budowali go na wielkich doświadczeniach historycznych, bo takich nie mieli a zresztą polityka sowiecka jest polityką żywą, opartą o żywy i zmienny prąd życia, nie ufającą doświadczeniom z innej epoki ani nie wierzącą w niezmienne, t. zw. przyrodzone cechy jakiegokolwiek narodu, w ducha narodu, jak się to określa. Zatknąć drogowskaz na wysokim kopcu doświadczeń historycznych to rzecz łatwa i niemal mechaniczna, ale przecież nie o to chodzi w aktualnym życiu politycznym. Kto tak pragnie uczynić w Polsce, ten napewno nie przyczyni się w sposób pozytywny do zbudowania rozumnego programu polskiego w stosunku do Niemiec. Inaczej chce Osmańczyk. Wzorem koncepcji sowieckiej jako podstawę do wszelkich rozważań nad

drogowskazem polskim oznaczył fakt, że naród niemiecki nie przestał istnieć i nie wyniósł się z Europy na jakąś obojętną planetę. Z tym trzeba się pogodzić. Osmańczyk poszedł także i dalej. Ze zupełnie niezależnie od tego, czy my chcemy, Niemcy będą się rozwijać i rósć, odbudowywać i dystansować nas gospodarczo. Tego zaś program sowiecki nie mówi, bo mówić o tym nie musi. Albowiem rozwój Niemiec leży także i w rękach Rosji. Tu musimy zatem dopełnić Osmańczyka. W tym punkcie musimy program nasz oprzeć mocno o Rosję i, tak sprzymierzeni, będziemy mieli na tyle siły i atrakcji że i od nas zależać będzie rozwój przyszłych Niemiec. To wszystko są jednak luźne uwagi, które nie rozstrzygają jeszcze pytania, jakim powinien być nasz drogowskaz.

Sygnały są rzeczą ważną. Uczą rozumieć i przenikać Niemców. Dziś już np. ukazują się w prasie niemieckiej artykuły na temat: Jakim powinien być rząd niemiecki? („Berliner Zeitung“, nr 233). Z artykułów tych wynika, że Niemcy dokładnie śledzą wydarzenia międzynarodowe i że korzystają z doświadczeń, z jakimi spotkali się ich satelici, szczególnie Włosi, na konferencji paryskiej.

Ustawiając drogowskaz musimy go ustawić ponad horyzontami bieżących wydarzeń i spraw a przede wszystkim ponad górą przesądów i uprzedzeń. Wszystko to dziś można już złożyć do lamusa irracjonalności, która w polityce jest niepotrzebna. Trzeba się będzie istotnie poważnie zastanowić, jak powinien się nasz rząd ustosunkować do nowopowstałego rządu niemieckiego. Nie chodzi o ogólny stosunek, bo w tym pójdziemy za bliskimi nam politycznie mocarstwami. Chodzi o szczegóły, o szczegóły, które nie dzielą np. Rosji i Niemiec ale które nas od nich oddzielają. Szczegóły, które są natury geopolitycznej, narodowościowej, gospodarczej. Nawet narodowościowej, chociaż nie będzie u nas mniejszości niemieckiej. Ale w Niemczech będzie długo jeszcze istnieć problem wysiedleńców niemieckich z Ziemi Odzyskanych, którzy będą się starali nadal jątrzyć stosunki a pewnie także i wpływać na bieg polityki niemieckiej. Już teraz mówi się w Niemczech o reprezentacji wysiedleńców (Flüchtlinge, jak ich się nazywa) w przyszłym rządzie niemieckim, przez co nie tylko nie zamierza się wtopić ich w społeczeństwo niemieckie ale uważa ich się za odrębność polityczną a w pewnym sensie także narodowościową. Problem granicy będzie także elementem zadrażnień. Obecna granica na Odrze jest zła. Właściwie stworzono nowy Gdańsk długości kilkuset kilometrów. Granica będzie dobra i dla Niemców nie będzie powodem do zadrażnień, lecz najwyżej do tęsknot, jeśli przesunięta zostanie nieznacznie poza lewy brzeg Odry.

To tylko przykładowo podane problemy. To także sygnały ale już sygnały programowe tak jak jest nimi książka Osmańczyka.

Chodzi o drogowskaz. Inni już swoje drogowskazy mają. Możemy je wyliczyć. Pierwszy — to drogowskaz rosyjski. Drugi postawili Anglosasi (różnice między Anglikami a Amerykanami są tylko różnicami taktycznymi, najwyżej do problematyki gospodarczej podchodzą zupełnie inaczej). Trzeciego uparczywie trzymają się Francuzi. Francuzi są równie konsekwentni jak Rosjanie ale podobnie jak i my mało mają w swym stosunku do Niemiec zrozumienia dla nowego racjonalizmu politycznego.

Trzeba stworzyć drogowskaz czwarty. Niezależny, oparty jedynie o interesy polskie, których zbieżność z interesami obcymi jest fragmentaryczna. Osmańczyk przeprowadza rewizję historii stosunków polsko - niemieckich, ale choć przyjął podobny punkt wyjścia jak Francuz Bainville, wnioski wyprowadza inne, w niczym nam nie ubliżające lecz przeciwnie, kierujące nas na drogę siły, równorzędności w wojnie i przewagi w pokoju. I to jest zdobywcze nowe rozumowanie polskie. Na syntezach Bainville'a opierały się koncepcje kollaboracjonistów spod znaku Vichy, kielkował męt niezłomnej wielkości niemieckiej w umysłach Francuzów, syntezy i rozważania Osmańczyka przekreślają strach, likwidują wrogość. Stajemy się już tylko przeciwnikami Niemców, mocnymi przeciwnikami, bez zamiaru nienawiści, która także jest chorobą irracjonalności, ale z mocnym postanowieniem dystansowania ich na każdym polu, rozstrzygania wojny na długo przed tym, zanim się ona zacznie.

Glupota powojennych polityków niemieckich ułatwia nam to zadanie. Rozpętała się niedawno w Niemczech ogromna propaganda antysowiecka. Stało się to niewątpliwie także pod wpływem bliskich kontaktów Schumachera i jego kolegów partyjnych z Anglosasami. To osłabiło w Niemczech poczucie realizmu. Rosjanie parę tygodni cierpliwie milczeli ale z ostatnich dni mamy już wiadomości, że rozpoczęli kontrakcję. Rezygnują na chwilę z koncepcji współżycia politycznego, gospodarczego i kulturalnego z Niemcami, aby ukarać głupców. Takie chwile w lot spotrzęgać winna nasza polityka zagraniczna, nasze społeczeństwo, by je odpowiednio wykorzystać.

Stańmy się namiętymi kibicami przy stole, gdzie toczy się wielka gra o Niemcy. Namiętność nie wyklucza jednak spokoju i opanowania. Nasze mieszanie się do pociągnięcia czterech partnerów może nie być mile widziane. Stojąc za plecami jednego partnera możemy jednak widzieć jego karty. Widząc jego karty, wiemy co należy uczynić, wiemy ile postawić. Za takimi plecami stoimy. W tej chwili w Niemczech zmieniono system gry. Baczmy, by nie uronić niczego z tajemnic nowego systemu. Uważając, zbieramy doświadczenia chwili. Na takich doświadczeniach oprzemy nasz drogowskaz, drogowskaz czwarty. Pogłósł historii jak dalekie echo kanonady nie mogą nas już wzruszyć, przez wiry międzynarodowej rzeczywistości, jak przez oczyszczający z grzechu nawyku chrzest, przejść winien nasz program niemiecki, program politycznie nowy i suwerenny.

Perspektywa

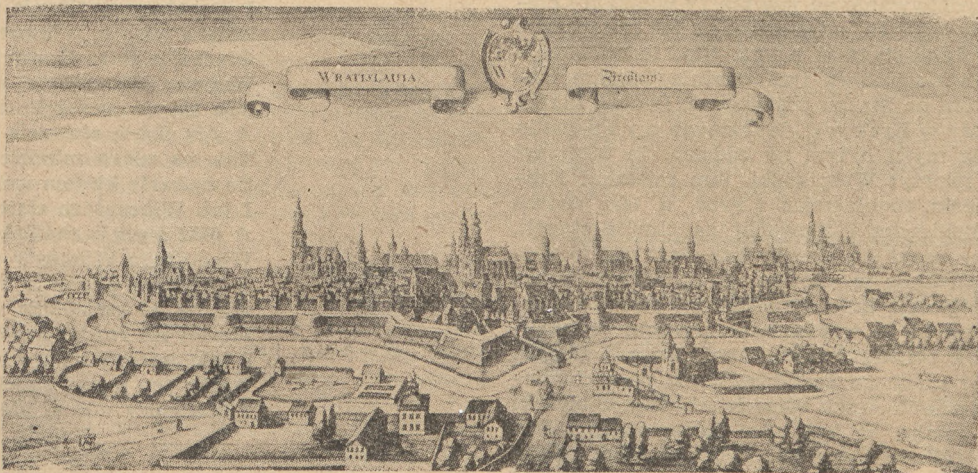
Odry

Odbijające się coraz częściej zjazdy autochtonów Ziemi Odzyskanych świadczą o tym, że powoli inicjatywa kształtowania życia polskiego na tych terenach przechodzi w ich ręce. Świadczą one także o tym, że coraz świadomiej rozumie się u nas w państwie rolę polityczną i kulturalno-społeczną elementu autochtonicznego w utrzymaniu i zrepolonizowaniu Ziemi Odzyskanych. I jeszcze jedno jest przy tym radosne uczucie — autochtoni nareszcie wydobywają się spod władzy przypadkowych na tych ziemiach Polaków, których celem był własny niski interes i materialna grabież i ucisk autochtona.

Wkroczywszy raz na tę drogę rząd polski musi po niej kroczyć konsekwentnie dalej. Odrobienie krzywd nie może się jednak odbyć jedynie drogą administracyjną, na to potrzebna jest przebudowa świadomości wszystkich Polaków, osiadłych na Ziemiach Odzyskanych. Przebudowa świadomości w kierunku powszechnego zdania sobie sprawy z ważności, konieczności i siły elementu autochtonicznego. Dopiero gdy to osiągniemy, wtedy element ten zajmie właściwe miejsce w strukturze ludnościowo - społecznej Ziemi Odzyskanych jak i w praktycznym realizowaniu programu repolonizacyjnego.

Przemiany te odczuwają już Mazurzy i Warmiacy, których lata przeżyte w nowych polskich warunkach były najcięższe. Pomogła temu również i energiczna wobec bezprawia postawa prasy polskiej, przy czym z ważniejszych wystąpień przypomnimy artykuły Mariusza Margala w „Kuźnicy“ i nieukończony jeszcze cykl Stefana Sulimy w „Odrze“. Zagadnienie kaszubskie zdaje się także wkraczać na nową drogę, na której regionalizm kaszubski w niczym nie będzie przypominał separatyzmu. Polacy Ziemi Lubuskiej, o których niezłomności wspomniał dokument, pozostawiony w biurku urzędnika niemieckiego, opublikował Instytut Zachodni, cieszą się rzetelną opieką braci z Poznańskiego. Ślężacy zaś w wielu powiatach mają już swoje twarde przedstawicielstwo polityczne, z którym liczą się władze wojewódzkie i odpowiednio do tego przebudowują politykę personalną na Opolszczyźnie.

Wszędzie jest widoczna poprawa. Moglibyśmy już wkroczyć na drogę optymizmu, gdyby nie zagadnienie młodzieży autochtonicznej w wieku pozaszkolnym, która wciąż jeszcze pozbawiona materialnej i duchowej opieki, marnieje i stacza się na dno zwątpienia. To zagadnienie jest pełne ogromnego tragizmu, ale ze względu na jego wagę omówimy je szerzej osobno.



Wrocław około r. 1650 według Meriana)

Polonistyka Wrocławska

1945 – 1946

Kolumny zredagował Tadeusz Mikulski

Stanisław Kolbuszewski

Kolumna duchów nad nami

Zaprzatanie sobą uwagi ludzkiej już po niespełna rocznym istnieniu, wydobywanie na jaw dla innych, konturów własnej historii, zakrawa na rzecz pretensjonalną, o nieprzyjemnym posmaku. Historia rocznej pracy wstępnej, organizacyjnej jednego zakładu polonistycznego, jest nikła i błada na tle szerokim życia, które kształtuje się od nowa, a codzienna robota pewnej ilości ludzi, obcych sobie wczoraj, związanych z sobą wspólnym warsztatem dzisiaj — ma odpowiedników wiele. Że więc z ośrodków polonistycznych na siedmiu uniwersytetach — ośrodek wrocławski na ujawnienie treści swego życia się zdecydował, stało się to dlatego, iż jest to właśnie ośrodek wrocławski. Pod względem swego charakteru jest w Polsce placówką naukową jedyną w swoim rodzaju: Kraków i Warszawa mają fundamenty stworzone w odległej lub nowszej przeszłości; Poznań i Lublin nawiązują do tego, co było wczoraj; a nawet Łódź i Toruń w tym różnym od Wrocławia są położeniu, że polski klimat mają gotowy, mają urobioną przez czasy tradycję życia polskiego i mają zaplecze w ludności osiadłej. Naukowa placówka wrocławska, legitymująca się tradycją stuletnią, straciła była przecież ciągłość pracy. Stała się w środowisku obcym i fizycznie i moralnie: obce mury i konfiguracja miasta w ruinach, obcy sobie ludzie, których tutaj dziwna wola przeznaczenia przygnała, ich najrozmaitsze nawyknięcia, nałogi, spojrzenia na świat, przyniesione z różnych części — już nie samej Polski, ale rzeczywistości — świata. Wrocław był długi czas, a może jeszcze dla wielu pozostał, ogromnym hotelem, do którego się zajeżdża, aby pobyć, załatwić interesy i skwapliwie wyjechać z obojętnością, zwyczajnie jak z hotelu.

Atmosfera tymczasowości nad tutejszym życiem unosiła się, gdy zaczął się tworzyć zakład historii literatury polskiej.

Człowiek nie może żyć na stałe wśród obcych, nie może żyć z wieczną świadomością tymczasowości i bez wsparcia się o przeszłość i tradycję; życie zaś dopiero wtedy znamion trwałości nabiera, gdy się ma własny dom, gdy się jest „u siebie“. A „u siebie“ znaczy mieć nie tylko materialne rzeczy, ale swoją własną atmosferę duchową. Tę atmosferę we Wrocławiu trzeba było dopiero stworzyć i tworzy ją powoli a bezwiednie przypadkowy zespół ludzi, nawykających do siebie zwolna i w miarę czasu zżywających się z sobą. I tworzy ją na swój sposób naukowy zespół Uniwersytetu. Nauka wrocławska od razu sięgnęła do przeszłości, iżby z niej wydobyć to co polskie, a za sprawą historii, architektury i piśmiennictwa, z czasów piastowskich ród wywodzących, na strukturze krajoobrazu moralnego wycisnąć znamie swojskie. Stąd wzięło się to namiętne, zażarte wydobywanie na jaw rzeczy wielkich i rzeczy błahych, jeżeli tylko na ich rodowodzie widniał stygmat n a s z. Stąd te publikacje i wydawnictwa tym właśnie polskim rzeczom na Śląsku poświęcone. Badacz literatury w Krakowie, Warszawie czy Poznaniu nie myśli o tym na codzień, że tutaj żył i tworzył Wyspiański, tam mieszkał Kraśniński, Sienkiewicz i Prus, a tam znowu Mickiewicz i Słowacki na chwilę stanęli, czy uczył się Kasprowicz. Jest mu to niepotrzebne w miejscu, żyjącym historyczną ciągłością kultury polskiej. Polonista wrocławski ze wzruszeniem wydobywa okruczności polskie z przestrzeni, już nie raduje, ale upaja go świadomość, że po tych niemieckich ongi ulicach chodził Słowacki z matką, że był tutaj Lenartowicz i Pol, uczył się Berwiński i Kasprowicz, przyjeżdżał Wyspiański; i polonista wrocławski z pietyzmem nawiązać pragnie tradycję

swojej katedry do katedry Cybulskiego i Nehringa, niby do własnych antenatów naukowych. Ma się tutaj wrażenie, że rzeczywistość jest „k o l u m n a d u c h ó w“, wznosząca się ponad nami, kędyś w górę, w przeszłość. Nie sama przeszłość jednak jest wystarczająca i jedynie ważna. Z nowych, młodych ludzi, którzy tutaj po naukę przyszli, trzeba było stworzyć środowisko polonistyczne i to środowisko powiązać z polskim życiem naukowym. Ci ludzie przywędrowali z rozmaitych stron Polski, zmęczeni latami wojny, nieporadni i niezaradni, a była ich z początku garstka nieduża, ledwo dwudziestu siedmiu. Potem przybyli inni, aż liczba zatrzymała się na czterdziestu dziewięciu. Z 40 osób normalnie uczęszczających na ćwiczenia i wykłady — 12 pochodziło z b. województw stanisławowskiego i lwowskiego, 9 — z byłych województw wileńskiego i wołyńskiego. Wielkopolska dała 4 studentów, Warszawa 3, Kraków 2, Śląsk jednego, inne województwa łącznie, siedmiu. I nad ich pierwszymi krokami na nowym podwójnym terenie — wrocławskim i uniwersyteckim, zaciążył brak miejscowych tradycji

By kształt polskiego słowa stał się tu kształtem wiary i braterstwa... o tym myślę, błędząc poranionymi ulicami Wrocławia, umiejący czytać nawet w kartach, które zetlały na popiół. O tym myślę, kiedy słyszę wzajemne złorzeczenia i wymyślenia patriotycznych kupczyków i gdy przypomnieć sobie muszę, że już kiedyś tak samo sobie złorzeczono tu, ale wtedy były to klótnie dwóch nacji... O tym myślę, gdy na próżno szukam płomienia wiary w twarzach, które tłumaczą się wojną a które zżera zło.

Cieszę się, a radość moja wyrasta przede mną jak słup ognisty i dziwię się, że

inni tego nie widzą. Cieszę się, gdy spotykam młodzież, dźwigającą księgi, książki i zeszyty, gdy gołębie fruwać jej nad głowami niziutko, jakby chciały zdmuchnąć skrzydełkami popiół, który osiadł na studenckich czapkach. Cieszę się, że nie trzeba żadnego patosu ale prostego spojrzenia i prostego uśmiechu, by uwierzyć.

By kształt polskiego słowa stał się tu kształtem wiary i braterstwa. Udzielając na łamach „Odry“ zbiorowej gościny profesorom i uczniom, polonistom wrocławskim, w chwili ich radośnej choć skromnej rocznicy, o tym myślę.

Wilhelm Szewczyk.

Ks. Wincenty Kraiński

Otwarcie nauki

Ks. Wincenty Kraiński (1786 — 1882), długoletni lektor języka i literatury polskiej w Uniwersytecie Wrocławskim w latach 1851 — 1878, pozostawił rymowaną autobiografię, którą wydał drukiem p. t. „Książd Wincenty, prozą wiązaną“ (Wrocław 1858). Jest to postać, prowokująca nie małą naszą ciekawość, a jednocześnie zmysł karykatury. Niech mówi o autorze frag-

ment jego tekstu, przedstawiający „otwarcie nauki“ we Wrocławiu, bodaj w pierwszym roku lektoratu Kraińskiego (1851). Jest to obraz sali wykładowej, prawdopodobnie jedyny w swoim rodzaju, to znaczy bez precedensu w pamiętnikach szkolnych. Narrację, utrzymaną w trzeciej osobie, prowadzi sam autor: książd Wincenty w „prozie związanej“ — to oczywiście ks. Wincenty Kraiński.

...Wkrótce ministrowi Biskup go przedstawił
I swoimi wpływy to u Rządu sprawił,
Iż go za Lektora zanominowano,
W uniwersytecie katedrę mu dano,
Gdzie wszystkich języków słowiańskich udzielał
I literaturę polską tam rozbierał,
Równie i słowiańską po polsku wykładał,
Krytykę autorów piśmiennictwa badał.
Lecz to młodzież polska niechętnie przyjęła,
Bo już kazaniami obrażoną była!
Mianowicie jeden herszta tam odgrywał,
Który w domach polskich za belfera bywał;
Ale był ateusz, niedowiarek boży,
Nie innego wcale, lecz pół psa, pół kozy!
Tego był Wincenty kilka razy zgromił,
By jego szatański głos czarta przytłomił!
Pomścił się wyrodek, polską młodzież skłonił
I na Wincentego potwarzami dzwonił,
„Że to jest ignorant i czytać nie umie
I literatury wcale nie rozumie!“
Zbiera więc tę młodzież na miejsce publiczne,
Otaczając lotra tłumy dosyć liczne,
Wszyscy Wincentego wygwizdać przyrzeką,
Jak się na otwarcie nauki przywleką.
A gdy dzień otwarcia obwieścił na karcie,
Tak na niego młodzież wściekła się zażarcie,
Że tę kartę błotem wskroś przerysowała
I tak Wincentego sławnie obwieszała!
A nikt się nie znalazł, by tę kartę zrzucił,
Więc długo Wincenty obwieszon pieśń nucił!
W godzinę otwarcia hurmem wszyscy weśli,
Klucze do gwizdania w rękawach przynieśli!
Herszt im rozdał hasło, by razem gwiznęli
I tak profesora bardzo przestraszyli,
Ażeby ten mowę zupełnie utracił
I literatury więcej nie tłómaczył!...

Książd Wincenty przez Dr. Kraińskiego. Prozą wiązaną. Wrocław 1858. W własnym składzie wydawcy. Domstrasse Nr. 20. Fragment zacytowany na str. 503 — 504.

i wytwarzała się nowa warstwa własnej, wrocławskiej tradycji polonistycznej.

Podając pracę, zastaliśmy gotową wspomnianą nazwę „Instytut Historii Literatury Polskiej“, trzy katedry: historii starszej, nowszej i najnowszej literatury polskiej (tę trzecią Min. Oświaty niebawem skreśliło), zastaliśmy bibliotekę i kilka pokoi dawnego seminarium slawistycznego, zajmowanych wówczas wspólnie z Zakładem Języka Polskiego, Zakładem Filologii Słowiańskiej i seminarium literatur słowiańskich. Poloników w bibliotece nie było wiele: prof. Tadeusz Mikulski doliczył się w grupie literackiej i językowej 654 pozycji. W ciągu pierwszego roku studiów biblioteka wzrosła do liczby niemal 2500 książek.

Tak powstał grunt pod warsztat naukowy. Ponieważ z ofiarności i z „okazyj“ powstawał, sporo tu jeszcze braków i defektów, nie pozwalających na szczegółową pracę badawczą. Nie wszyscy „possidentes“ chcą docenić i zrozumieć ważność wrocławskiej placówki polonistycznej, a przecie jest to jedyna we Wrocławiu naukowa biblioteka polonistyczna (o zawartości „Ossolineum“ nie jeszcze nie wiemy). Prywatnych bibliotek nikt z nas nie ma. Młodzież z trudem znajduje nieraz podstawowe teksty i opracowania. W wykłady musi się włożyć wiele wysiłku, bo pamięć zawodzi, a sprawdzić faktów nie ma gdzie. To są ciemne plamy polonistyki wrocławskiej.

Wspólne troski zespalały ludzi z sobą i tak rozszerza się treść współżycia. Dysonanse — bo i one być musiały — wnosiły w to życie na moment jednostki, które współżyć nie chciały czy nie umiały, a gdy one odpadły, praca kształtowała się dalej w spokoju i ze zrozumieniem jej ważności. I wreszcie: dobre wrażenie robi młodzież. W tych ludziach, śmiało trudom życia w oczy patrzącym, zmuszonym bardzo często do pracy zarobkowej po biurach i sklepach, jest — u dawnej młodzieży rzadziej spotykana — powaga w spojrzeniu na świat. Znać, że wyrabiały ich czasy ciężkie i ich sylwetki duchowe kształtowały. Poziom intelektualny co prawda nie jest równy, widać niekiedy braki w ogólnym wykształceniu literackim, ale jest wyraźna wola uczenia się, a liczne kollokwia i prace proseminaryjne doskonale to poświadczają, prace nieraz wybiegające poza szablony, a noszące w sobie piętno indywidualności młodego — badacza.

A wreszcie nasz dom. Wskutek życzliwości Jego Magnificencji Rektora Kulczyńskiego, otrzymał Instytut na wiosnę, w osobnym, odremontowanym gmachu pierwsze piętro dla siebie. Dwie duże, ładne, jasne sale z wysokimi oknami, patrzącymi na zrujnowany gotycki kościół — to czytelnia i sala ćwiczeń; trzy pokoje zajęte ma magazyn książkowy, z nich jeden w tej chwili jest już pełny; pokój dla asystenta dyżurnego i dwa pokoje profesorskie. Oprócz tego na parterze ma być — ponoć niebawem — wygotowana sala wykładowa. Liczba zaś studentów u progu drugiego roku istnienia — około 170 osób — stwarza poważne problemy wobec naszych obecnych materialnych możliwości. Na rok czwarty i trzeci przypada jakieś 20 osób, a na rok drugi mniej więcej 40.

Powoli życie nasze przestaje mieć już tylko charakter wstępny, organizatorski. Tamte wstępne czasy nadały życiu temu zdecydowany charakter na przyszłość, teraz kształtują je nie same tylko miejscowe warunki ogólne, ale i odrębne usposobienia, dyscypliny i metody, stwarzając coraz wyraźniej swoistą fizjognomię polonistyki wrocławskiej.

Tadeusz Mikulski

„Trzeba petycyować o wspaniałomyślne dary“

Są miasta, w których książka chroni się, jak w zamczystych spichrzach. „Wojna! Nieprzyjacieli w granicach!“ — książka czuje się tutaj bezpieczna, mimo pożaru, który idzie przez kraje. Cierpliwie, całymi wiekami układają się w ogromne stopy, ostrosłupy mądrości. Gdy zbliża się do niej uczony, otwiera się przed nim łatwo i ocho- czo, uporządkowana, dostępna, wypielegno- wana przez ręce inroligatora i biblioteka- rza. To książki szcześliwe, chciałyby się mówić, „jagiellońskie“.

Gdzie indziej darzy im się los tragiczny. Są bowiem miasta klęski, nieuchronnej, doszczętniej, którą książka musi podzielić. Zasobne biblioteki, zbierane z wielką miło- ścią, idą tutaj na łup i rabunek. Książki ogarnia pożar, który trawi miasto. Książki rozsypują się w popiół, jak w strasliwej bajce. O tych niewielu, które uszły bomby i płomieni, mówimy wówczas: oto książki z Warszawy. Mocny dym opalił im grzbiety, tynk i gruzsypią się z ich wnętrza.

Książka polska we Wrocławiu przeżyła swoją własną historię, nie podobną do dwu nakreślonych. I chociaż ciągle jeszcze nie ma książki polskiej we Wrocławiu, nie ma

wydarzenia: „na dniu 3 lipca 1886 r., o go- dzinie 7mej wieczorem“. Cały swój majątek oddało Towarzystwo w ręce Władysława Łebńskiego, cenionego archeologa, niegdys swego prezesa. Dotyczyło to przede wszyst- kim biblioteki. Książki, zbierane z wielkim mozołem, na świadectwo rosnących zami- łożeń naukowych i ofiarności studenckich zasobów, przewieziono z Wrocławia do Po- znania, który stanowił ówczesne zaplecze naturalne Śląska. Książki opierały się długo administracji niemieckiej. Ale okazały się słabsze od policji. Żałobnym pochodem zo- stały przeniesione w głąb kraju, niczym książki tymczasowe, spoczywające na lot- nych piaskach.

Był to drugi exodus. Poprzednio, w roku 1867 zmarł we Wrocławiu Wojciech Cy- bulski. Pozostawił wielką i cenną biblio- tekę, której charakter nadały bogate sławica i polonica, uzbierane między Pragą, Berli- nem, Wrocławiem. Zatraskany przyjacio- łem nie udało jej się utrzymać w całości, ani związać z uniwersytetem, jak na to za- sługiwała. Toteż rozproszyła się „po całym świecie“. Nie mała rzadkością jest dzisiaj w zbiorach wrocławskich energiczny pod- pis „Cybulski“ w prawym górnym rogu karty tytułowej. Zły i mocny wiatr prze- szedł przez półki biblioteczne Wojciecha Cybulskiego. Rozniósł książki, jak chciał.

Władysław Nehring związał wielorako swoje nazwisko z warsztatem naukowym Wrocławia. Trud, jaki włożył w rozbudowę biblioteki Towarzystwa Literacko-Słowiań- skiego, został zmarnowany z niemiecką pedanterią. Na szczęście, nie było to jego jedyne zbieractwo. Z wytrwałością urodzo- nego człowieka nauki, który wcześniej umiał siebie rozpoznać, gromadzi Nehring własną bibliotekę. Jest to — po Cybulskim — druga polonistyczna biblioteka prywatna we Wrocławiu. Nehring wprowadza do niej litera- turę polską oraz polskie językoznawstwo na szeroko ustawianym tle języków i lite- ratur słowiańskich, z niezbędnym współ- czynnikiem nauki niemieckiej. Wśród tych książek, zawsze dostępnych dla gromady studenckiej, Nehring przepędził żywot pra- cownicy. Gdy na starego uczonego jejy spadać klęski osobiste, Nehring patrzył na książki, niczym w twarze ostatnich przyjaciół. —

U progu emerytury, w r. 1907, powierzył swemu uczniowi, Ignacemu Chrzanow- skiemu, zamiar sprzedaży biblioteki, gdy jako warsztat pracy stała się już mało po- trzebna. Ale Nehring chciał sprzedać swe zbiory „w całości“. Rozumiemy to jasno: uratować swoją pracownię to znaczy dla uczonego uratować swoją osobowość. Nie przyszło do tego. Nehring umarł wpraw- dzie wśród książek (1909). Ale po jego zgonie żałobna procesja czionek ruszyła z Wrocławia do Poznania, do antykwarni Józefa Jolowicza. Antykwarz przeliczył książki: było ich 3048 (w istocie więcej, ponieważ niektóre numery należało później dublować). Katalog biblioteki Nehringa, obejmujący języki, piśmiennictwo i dzieje Słowian, ukazał się w druku w roku 1912. Stąd czerpali nabywcy, gdy tylko zapra- gnęli. Książki Nehringa poszły w różne ręce, na świadectwo prawdy, że one także stały w lotnych piaskach wyspy tum- skiej we Wrocławiu.

Inną instytucję budował Nehring w spo- sób ostatecznie trwalszy. W r. 1893 położył pierwsze zryby pod seminarium filologii słowiańskiej, które otrzymało podówczas pierwszą dotację rządową. Półki biblioteki seminaryjnej jejy od razu zapełniać się książkami. Z niejakim wzruszeniem czy- tamy dzisiaj opowieść samego Nehringa, w innym liście do Ign. Chrzanowskiego, z r. 1893, jak stary już profesor krząta się wokół książek. Fundusz, wyznaczony na zakupy biblioteczne, „jest dość szczupły“ (nihil novi od lat w bibliotece polonistycz- nej!). Nehring rozpisuje listy do wszystkich stolic słowiańskich. Nadchodzą transporty z Krakowa i Petersburga. Czy przyjdą tak- że następne? Nehring odpędza niepokoje: dalsze książki „są w drodze“. Na stoły seminaryjne przynoszą z pocztu pierwsze paki z drukami: Nehring uważnie kontro- luje stemple. „Kurnik, Poznań i minister bułgarski przysłali najpierw.“ Poznań — to oczywiście Towarzystwo Przyjaciół Nauk, z którym Nehring współpracuje od lat. Kurnik — to niezawodnie Zygmunt Celi- chowski, stary wrocławczyk i dobry towa- rzysz. Zachęcony początkiem, postanawia Nehring „petycyować“ w swojej staro-

wieckiej polszczyźnie o dary biblioteczne z upartą wytrwałością, którą rozumiemy dobrze u tego Poznaniaka spod Gniezna. Może dobra wola społeczna odwróci zły wiatr, wiejący nad książką polską we Wrocławiu?

Kiedy w szary dzień listopadowy roku 1945 wchodziliśmy po raz pierwszy do biblioteki sławistycznej w Uniwersytecie Wrocławskim, było chłodem od ścian i okien. Ale książki stały na półkach. W grupie „L“, która objęła polonistykę literacką i języ- kową, naliczyliśmy wówczas 654 dzieła. Były to w dużej mierze nabytki sławistyki niemieckiej, która literaria polskie groma- dziła — trzeba to powiedzieć — z pewną celowością. Ale z zachodów i zbieractwa Nehringa pozostały dzisiaj okruchy. Ledwie od czasu do czasu, na marginesie książki, np. na szerokim marginesie wydania pom- nikowego Kochanowskiego, jawią się blade ślady pracowniej ręki, notatka ołówkiem Nehringa, uwaga na temat tekstu czy wy- jaśnienie języka. Ledwie na kilkunastu książkach przechowały się dedykacje uc- niów profesora, którzy zanosili mu prace doktorskie, tylekroć poprzednio wspólnie rozważone, dzisiaj odbite drukiem na dzień uroczystej dysputy. Z pietyzmem starego nauczyciela Nehring przechował te ksią- żeczki w zakładzie, aż przetrwawszy jedną i drugą wojnę, dotarły do naszych czasów.

Podstawa materiałowa, która ocalała na lotnych piaskach wrocławskich, okazała się cenna, lecz nie wystarczająca. I jak na- pisał Nehring w roku 1893: „powoli zakłada się biblioteka...“ Szerokimi schodami bu- dynku humanistycznego przy ul. Szewskiej wnosi młodzież polonistyczna pierwsze skrzynie nadeszłych książek. Cóż to? To cenne fragmenty biblioteki Stanisława Win- dakiewicza, których nabycie umożliwiła dotacja Rektora Stanisława Kulczyńskiego oraz postawa profesora Juliana Krzyża- nowskiego. To z kolei zespoły wyłączone z biblioteki Wincentego Ogrodzińskiego, który wiąże się ze Śląskiem nie tylko tru- dem naukowym swojego życia, ale także — teraz właśnie — licznymi fragmentami swojej pracowni, przyniesionymi do Wro- cławia. To wreszcie zakupy antykwaryczne, które nadchodzą z Krakowa, czynione pod okiem cudownego księgarza, Antoniego Trepińskiego, który opłakał niedawno „Ostatki polskie“ czyli tragedię książki w Warszawie, a dzisiaj pośredniczy w kol- portażu książki, dostępnym, celowym i kie- rowanym przez właściwe zrozumienie zawodu.

I tutaj zaczynają się pokrewieństwa z epoką Nehringa. Ten fundusz biblioteczny, jak zawsze, tak wówczas „dość szczupły“! „Trzeba petycyować o wspaniałomyślne dary.“

I szczegóły te same:

Student polonistyki we Wrocławiu Woo- drow Januszewski, jak dawniej jego kole- dzy w Towarzystwie Literacko-Słowiań- skim, pozyskał dla zakładu cenne książki i czasopisma (w oprawnych kompletach), przekazane przez Spółdzielnię Wydawniczą „Książka“.

Biblioteka Jagiellońska darowała garść pierwodruków w zakresie tekstów litera- ckich wieku XVIII, które służą teraz jako materiał pokazowy do historii drukarstwa.

Z Kurnika Zygmunta Celichowskiego przyręka swoją pomoc dobry dziedzic dawniej tradycji, Stanisław Bodniak. W Po- znaniu podobnie. Stare związki obu środo- wisk, którym należy się źródłowa i ob- szerna rozprawa, prowadzą do przeszłości. Ale powstają związki nowe: między za- kładami uniwersyteckimi. Prof. Roman Pollak, pełen czynnej życzliwości dla mło- dego środowiska uniwersyteckiego, użyczył własnych dubletów, które we Wrocławiu stały się unikatami. Patrzymy raz jeszcze do poźółklej korespondencji, by odczytać słowa Nehringa, że Kurnik i Poznań „przy- słali najpierw“.

Ale też powstają korelacje nowe.

Z Katowic u schyłku w. XIX nie mógł Nehring liczyć na żadną pomoc. Dzisiaj nadchodzi: z Instytutu Śląskiego, który otwiera dla Wrocławia magazyny swoich wydawnictw, ze Śląskiej Biblioteki Pu- blicznej, gdzie dyr. Paweł Rybicki prze- chował dla Wrocławia inkunabuł poloni- styki tutejszej, egzemplarz „Pamiętnika To- warzystwa Literacko-Słowiańskiego“ z roku

1886, wielkiej ceny. A nawet od osób pry- watnych, spośród których wymienić należy mgra Antoniego Szymanowskiego, histo- ryka z warszawskiej szkoły, który nade- słał do Wrocławia zespół tekstów litera- ckich z początku w. XIX w wydaniach oryginalnych.

Zupełnie osobno trzeba mówić o War- szawie. Stolica polskiej książki ogląda dziś popielisko swoich zbiorów i naturalną dezorganizację swoich warsztatów pracy. A jednak znajduje dość środków, aby wspomóc środowiska uboższe. Prof. Julian Krzyżanowski, wypróbowany przyjaciel po- lonistyki wrocławskiej, kieruje na wąską uliczkę Szewską nieprzerwany strumień książek, broszur, czasopism, należących do podstawowej biblioteki literackiej. Z Cen- tralnej Zbiornicy Książek przy Minister- stwie Oświaty, dzięki stanowisku dyrek- tora Józefa Grycza, nadeszła paczka ksią- żek, wymierzona szcudrobliwie. Równą życzliwość okazał dyr. Stefan Wierczyński, który z nakładów Biblioteki Narodowej wy- dobył dla Wrocławia cenne zawsze biblio- graphica. Naszkicowana tutaj pomoc biblio- teczna, okazana jeszcze przez Towarzystwo

Katechizm Rzymsko-katolicki

dla dzieci, przygotowujących się do Spowiedzi i Komunii świętej.

Wydął
Ks. Kirchniawy.

Wydanie XXXI.

1930

Nakładem i drukiem: Antonius-Verlag
Breslau Carlowitz.

Jedną z ostatnich wydanych we Wrocławiu książek polskich. Ale na karcie tytułowej nie figuruje już jako miejsce wydania: Wrocław, lecz obce: Breslau—Karlowitz.

Naukowe Warszawskie i Kasę im. Mianow- skiego, buduje nową oś w geografii kultu- ralnej Polski współczesnej: oś Wrocław- Warszawa, o jakiej nie mógł marzyć Wła- dysław Nehring. Tak zestawiając materiał historyczny, spostrzegamy nie tylko ana- logie, ale zjawiska zupełnie nowe, które dobrze wróżą przyszłości.

„Powoli zakłada się biblioteka...“ czy- tamy w listach, pisanych równym piśmem pedanta-filologa. Na lotnym piasku wro- cławskim ledwie koczowała polska książka, którą przepędzał stąd los słowiańskiego plemienia. Dziś na stoły seminaryjne we Wrocławiu powraca zewsząd polska litera, w tekście uczonego i poety. Pieczołowicie ustawiamy ją na półkach, w posłusznych szeregach druków i czasopism. Z przeświadczeniem, że tak być musi, czekamy na ludzi, na instytucje, które siły nasze zechcą rozwinąć i pomnożyć. A w samym zjawisku: w zjawisku powrotu książki polskiej do Wrocławia, widzimy prawo naszego życia, dziwnie i mocno krzepiące.

„Trzeba petycyować o wspaniało- myślne dary“ — to wołanie Neh- ringa znowu rozlega się z Wrocła- wia. Kto je usłyszy? Uniwersytet czeka.



Strona tytułowa tego tygodnika polskiego „Nowiny dla ludu ewangelickiego“, których redaktor, ostatni pastor polski Jerzy Badura, strzegł języka polskiego we Wrocławiu i okolicy.

jej dla innych powodów, niż w Warszawie, mieście, które rozsypało się do fundamen- tów. Książka polska we Wrocławiu pogrą- żyła się w morzu obcym, zalana przez czerń drukarską narodu Jana Gutenberga. Utrzy- mywała się zrazu na wysepkach bezpie- czeństwa, coraz bardziej zagrożona w swoim bycie fizycznym. Była to książka walcząca, która chciała przetrwać. Z miejsca na miej- sce rzucał ją ostry wiatr, bijący z Niemiec. I tak została w historii polskiego zbieractwa, że swoją kwalifikacją szczególną: książka tymczasowa, położona na lotnych piaskach.

Pierwsza formacja biblioteki polonistycz- nej we Wrocławiu przypada na okres To- warzystwa Literacko-Słowiańskiego. Po- wstała w r. 1836, jako podstawa prac zbio- rowych w zakresie historii i literatury. Przeżyła lata swojego zaniedbania, gdy Towarzystwo walczyło z trudnościami na- tury lokalowej czy politycznej. Znamy jej skromne początki: w roku 1848 liczyła 330 dzieł. Później rosła darami i zabiegliwością członków, przyjaciół, kuratorów Towarzy- stwa. W statucie pojawił się paragraf, który nakłada „egzemplarz obowiązkowy“ na wszystkich członków, parających się autorstwem. Jest to egzemplarz dożywotni. Profesor Wojciech Cybulski usiłuje zjednać dla rozbudowy biblioteki względy ziemiań- stwa w Wielkopolsce, które gromadzi książki nakazem tradycyjnym, od „Pana Podsto- lego“. Z wielką gorliwością zabiega o jej pomnożenie Władysław Nehring, drugi w tej dynastii wrocławskiej profesorów-Polaków. Za ich głównie sprawą biblioteka w roku 1886 liczy 2263 dzieła. Jest to plon zbiera- ctw, trwającego przez lat 50. W tym wła- śnie roku jubileuszowym rektor uniwersy- tetu, działający na mocy rozporządzenia ministerstwa oświaty w Berlinie, rozwiązał Towarzystwo. Znamy dokładnie datę tego

Julian Lewański

Rozważania na linii Wrocław — Katowice

Ze smutkiem stwierdzić trzeba, że Wrocław wykształcił się na mapie kultury polskiej dość niespodzianie — nie czyniono w poprzednich latach przygotowań, nie zaplanowano przejęcia i uruchomienia, nie stwarzał nikt problematyki, której by Wrocław miał służyć. Nikt na Wrocław nie czekał, nikt go się nie spodziewał.

Człowiek na Górnym Śląsku, na Opolszczyźnie, szkoły, probostwa — jednak czekali, „głodni byli Polski“. Czekala bogata historia tej ziemi, wysoko wykształcona pieśń ludowa, taniec, obyczaj — stary i czcigodny. Czekala na badacza ciekawa twórczość literacka — śensacyjny Różdzeński, kaznodzieja wieku XVII, poeta ostatniego wieku, periodyki, wielki i stary ruch wydawniczy.

Siłą tych potrzeb tworzą się punkty, które po Wielkiej Wojnie dały początek poważniejszym badaniom. Cieszyn, zorganizowany wcześniej, nie wykroczył niestety wiele poza swój region beskidzki, będzie pięknym przykładem tworzenia ośrodka badawczego na pograniczu, własnymi siłami, ośrodka — z dorobkiem, zasługami i tradycjami.

Kraków — wielka fabryka zasobna i w narzędzia i w ludzi, zapłacił należny trybut śląskiej literaturze w małym tylko procencie. Adam Bar zajmie się Miarką, Kazimierz Dobrowolski wyda listy Lompy, z Krakowa wyjdzie wiele prac Ogrodzińskiego, jednego — można powiedzieć: z zawodu, badacza literatury śląskiej. W jakim procencie został spłacony trybut, tym więcej — dlaczego w takim właśnie, — wahałbyśmy się oceniać.

Skrawek Śląska z Katowicami, wywalczony po Wielkiej Wojnie, nie był ani warsztatem zasobnym w pracownię i biblioteki, ani zorganizowanym ośrodkiem życia literackiego, tym mniej naukowego. Musiał przejść najprzód okres stabilizacji stosunków gospodarczych, politycznych, ustalić swój skład ludnościowy. W końcu międzywojennego dwudziestolecia ustali się wreszcie pewien kolor i temperatura życia literackiego, utrwala pewne nazwiska. Trzy ugrupowania młodych literatów, pisma literackie, skromny i niezorganizowany ruch wydawniczy znalazły poważny współczynnik w Śląskiej Bibliotece Publicznej (dawniej Sejmu Śląskiego). Z działających wyliczmy — z szacunkiem wspominając jego dla Śląska zasługi — ks. Szramka, ks. Kudere z Brzezinki pod Mysłowicami, wieloletniego publicystę, żyjącego jeszcze w Mikołowie, Konstantego Prusa. Z młodszej generacji wymienimy Pawła Musioła, Ignacego Fika, zamordowanego przez Niemców, Kazimierza Gołę, który obozy przetrzymał, dalej pracujących dziś intensywnie Wilhelma Szewczyka, Zbyszko Bednorza, Zdzisława Hierowskiego, Jana Baranowicza.

W okresie międzywojennym poważnym czynnikiem, punktem spotkań i przemysłów był Instytut Śląski. Dla niego Wincenty Ogrodziński, Roman Pollak przygotowywali serię „Biblioteki Pisarzy Śląskich“, która dała jedyne właściwie poprawne i planowo pomyślane wydania czołowych piór Śląska.

Opolszczyzna walczyła sama „o każdy okrusz słowa“, jak pisał poeta tej ziemi — Edmund Osmańczyk. Troszczono się tam — w latach przed wielkim terrorem — o polską myśl, książkę, poezję, wychodzą dzienniki. Naturalnie — rozmiar przedsięwzięć literackich jest skromny, mają one charakter popularny.

Gdy rozważamy dzisiaj sprawy polonistyki wrocławskiej i patrzymy na tory zbiegające się ku nam — linia katowicka wydaje się dość nikła. Ginie ona niemal zupełnie na płaszczyźnie opolskiej. Bo zaiste nie tak wiele można tam doszukać się „literatury“. W samym Opolu działa wprawdzie Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki, niezmiernie ruchliwy i ambitny teatr, wyszedł tomik pisarzy polskich na Opolszczyźnie (niezbyt udany), zaczął wychodzić tygodnik, w Prudniku tygodniowy „Nasz głos“ chwali się pewną nawet zbudowaną już tradycją. Dodajmy, że dzieją się te sprawy raczej w aurze katowickiej, lub siłami miejscowymi, a tyleż kilometrów dzieli to miasto od Katowic, co i od Wrocławia. Nie czas tutaj na analizę tej „przesieki“, trochę magicznej, która tak dokładnie odcięła Opole od nas — notujemy ją tylko.

Górny Śląsk jest już dziś poważnym walorem w życiu kulturalnym polskiego Zachodu, a może wkrótce — całego kraju. Wyższe uczelnie i instytuty badawcze, ruch muzyczny, teatry, liczne periodyki (44 w Katowicach!), formy powszechne konsumpcji dóbr kulturalnych — wykazują stały rozwój i spirację; te przecież do tyła skromne, że gwarantują solidną robotę. Z niewielu zastrzeżeniami da się to samo powiedzieć o życiu literackim, z licznymi zastrzeżeniami o życiu „naukowo-literackim“. Oddział Związku Zawodowego Literatów, Klub Literacki, kolumny literackie w pismach, — dają w sumie dość poważną działalność, chociaż efekty są trudne i do opisu i do rachunku. Nie ma natomiast Górny Śląsk ośrodka naukowo-badawczego, krytycznego. Komisja Kultu-ralno - Literacka Instytutu Śląskiego nie rozwinęła szerszej działalności, a luzem chodzący badacze — dali mało.

Tutaj właśnie mogłyby zaskoczyć tryby między strukturami kulturalnymi Górnego Śląska i Wrocławia, tu jest punkt, z którego ruszyć by mogła maszynieria; surowca dostarczy jej wielka biała karta historii literatury śląskiej, zaledwie zarysowana. Bogata przeszłość literacka czeka na opracowanie, współczesność wabi problemami, Katowice i Cieszyn służą materiałami, ludźmi, tradycją (wprawdzie skromną). Literatura na Śląsku jest obiektem i dużym

Jerzy Kowalski

Szkoła Ateńska

odgadła nawet dla siebie samego. Nawet mistyfikacja jest dopuszczalna, byleby coś dawała, byle w samym dziele było coś, co bierze czy choćby przekonywa.

Pisarz jest albo uzdolniony, albo pretensjonalny, albo utrumque. Nie liczę pisarzy, którzy mają stosunki w redakcjach albo potulnie czytają Odpowiedzi Redakcji. Uzdolnienia pretensjonalne wypada zostawić własnemu losowi (nie musi on być najgorszy). Pewna jednak ilość młodych pisarzy dobrze zrobi, jeżeli usposobi się dyskusyjnie.

Nawet u nas ten i ów czytuje coś poza beletrystyką. Czytanie samych powieści słodzi starość emerytom, przynosi ulgę zamęczonemu urzędnikowi, wzmacnia apatię

raci, krytycy z Górnego Śląska. Pierwsi niosą narzędzie wysokiej klasy i tradycję świetną, choć odległą, bo sprzed lat stu niemal, drudzy — tradycję świeżą, z nią energię, jaką daje wyczucie współczesności i związek z życiem. Pierwsi wędrują po surowiec i preparaty do opisu, drudzy — po plan, współkontrolę, miarę i ocenę.

Te wędrowki — jak długo Katowice uniwersytetu mieć nie będą — wydają się konieczne.

Te wędrowki — spodziewajmy się — siał będą ponadto ziarna, drożdże poczyną wydawniczych, odczytowych.

Te wędrowki przemierzają ludzi, gdy ten i ów rozejrzy się po nowym terenie.

Spodziewajmy się dalej, że utarty szlak zachęci młodzież śląską do studium uniwersyteckiego we Wrocławiu właśnie. Na polonistycę mamy dziś Ślązaków 1,2%. Nie próbujmy tego objaśniać, a pamiętajmy tylko, że **najwięcej sił zespolić trzeba, aby Śląsk miał własnych literatów, dziennikarzy, nauczycieli, przestał być wreszcie prowincją administrowaną przez przybyszów, uruchomił na koniec wielkie zapasy ludzi, eksploatować zaczął pokłady intelektu.**

W pracy kulturalnej wiązanie możliwie dużej ilości połączeń strukturalnych jest podstawą owocnego funkcjonowania każdego wycinka tej struktury.

w zakatarzonych dziewczętach, psuje mu charki. Widziałem szofera i sprzedawcę pieczonych kasztanów, w gestym mrozie zacytowanych w powieści. Ci ludzie czytają nieprzytomnie każdą powieść, najważniejszy jest dla nich koniec. Jest dobrze i dobroczynnie, że istnieją tysiące powieści i setki tysięcy opowiadań. Ale mówmy o czym innym.

Nasi pisarze nie lubią Uniwersytetów. Sądzę, że jest to wina Uniwersytetów. Bo jak są literaci niechętni intelektualizmowi, tak są intelektualiści, lekceważący literaturę. Literatom wolno, intelektualistom nie. Więcej się wymaga od intelektualisty.

Jest coraz więcej rzeczy, które zaczynamy rozumieć. Rozumienie jest także przeżyciem, nieraz bardzo uczuciowym. Przy tym smak, a także i ironia (niezbawiona smaku) pomagają rozumieniu. Można rozumieć z elegancją: to zapobiega ortodoksji. Chcieć rozumieć, to także ogląda.

Ludzie wierzący tylko w dowód, są jednak trochę naiwni. Ktoś nazwał mnie nieznośną bestią, dał dowód. Trudno zaprzeczyć: byłem wtedy wyczerpany i rozdrażniony, a tamten także nie widział nic prócz siebie (ale to nie weszło do dowodu). Boy coś udowodnił; dowód jest prawdziwy, a twierdzenie tak udowodnione nie jest prawdziwe. Chmielowski i inni udowodniali, że Sienkiewicz był fuzerem. Dowody były prawdziwe i pouczające. Mniejszego pisarza (np. Ossendowskiego) to zważyło by, a Sienkiewicza nie. Więc to także sprawa proporcji. W Anglii i w Stanach Uniwersytety wydają czasopisma literackie, drukują tomy esejów lub rozważań współczesnych. W czasopiśmie literackim jest wiele trafnych lub interesujących (nie publicystycznych) osądów o tym, co się dzieje. Wszystko to czyta się gładko i nie jest obojętne, że ten, co to pisze, ma jakąś szkołę myślenia, wybredność akademicką i nawyk życia umysłowego w rozstrząsaniach. Nie pisze referatów (jak uczonek krakowski), nieraz kapryśnie wyraża swoje usposobienie raczej, niż przeświadczenie. Ale gdy się żyje w zagadnieniach, wiodło się niejedną dyskusję, zagłada się do czasopism, wtedy miewa się coś upiornego nawet w bagatelnym mówieniu jest jakiś utrafił w przygodnym sądzie. Z rozmów nauczył się taki pisarz nie zarzynać ludzi. W pisaniu musi być kultura towarzyska. I chociaż da Vinci nie umieścił Horacego w swojej Szkole Ateńskiej, jednak Horacy był akademikiem ateńskim, i także przez jego pisma Szkoła Ateńska jest jeszcze dzisiaj naszą Szkołą.

MUZA POLONISTÓW

Jerzy Cieślowski

Hubert Drapella

Emeryt

Raz pewien emeryt

zachorował i długo umierał.

Schodzili się z domu znajomi,

podglądali przez dziurkę pokryjomy.

Odwiedził go przyjaciel na krótko,

a on żyje i rośnie mu bródka.

Przychodził w niedzielę goście,

a on leży i rosną mu paznokcie.

Znudziło się to wszystkim w końcu,

nikt nie przyszedł — a on konający.

Że tak nudził się z sobą i leżał,

westchnął w końcu — i nie żył.

Minął dzień. Przyjechał ktoś bliski.

W drzwi zapukał, postawił walizki.

Wychyliła się z przeciwka krawcowa:

— Pan do niego? Trzeba go pochować.

A że w sieni było dosyć mroczno,

poprosiła do siebie, by spoczął.

Patrzy nagle i oczom nie ufa.

Emeryta to widzi, czy ducha?

Zatoczyła się w strachu pijana:

— Jezus Maria, co sprowadza pana!?

— Byłem tylko na świecie sam jeden, przyjechałem zająć się pogrzebem.

Ratusz

W milczeniu zegarem policzone noc gwiazdy ostrołukiem rozcina; fosfor okruszyną na szynach śle refleks wykuszom na koronę. Rozmawiają kamienne płaskorzeźby: dudni mrok pod stopami rozchwiany, głos pijacki wybuchnie — nie otrzeźwi — osunie się w zimny bruk pod drzwiami. Gwiazdy bledną, wypatrując dzwony czasu, rośnie wieża nad horyzontem kamienic, w olów szyb srebrny chłód się zasnął. Kreśli ranek ostry brzeg półcieni.

Tadeusz Nuckowski

* * *

Przez kraj polny i leśny

przerzucił jesienne wymiarem

linię czulej podróży

Oczami nocy

rozblysnął kraj śpiewanych płomieni

Śląsk pachnie maszynami i pracą

a uśmiechem w pielgrzymce podanym

słoneczny lud podziemi dojrzewa

Ranek zielonej dali

rozblysnął miastem pięćdziesięciu mostów:

tu będzie mój nowy dom

Pachnie leśną wiosną

uśmiechem wielkanocnego poranka —

by w słońcu zakwitły ruiny

— pnąc się w górę —

polna róża mego wieśniaczego dzieciństwa

z serdecznego kraju zapomnienia.

Marian Smereka

Śladami wrocławskich przeżyć Bonczyka



Ks. Norbert Bonczyk, pieśniarz Górnego Śląska

Wrocław w wieku dziewiętnastym był przede wszystkim śląskim ośrodkiem nauki. W znacznie mniejszym stopniu rozwinał się w tym mieście przemysł i handel, rozbudowany dopiero w wieku następnym. Centrem zaś nauki był Uniwersytet. Do niego spieszili na studia synowie chłopscy i dzieci robotników ze Śląska i Poznańskiego. Zapisywali się najczęściej na wydział teologiczny. Mieszczanie obsadzali wydział lekarski i prawniczy.

Tutaj w roku 1858 po złożeniu egzaminu dojrzałości w Gliwicach przybył Norbert Bonczyk. Należał do zapalonych adeptów wiedzy, bo oprócz teologii uczęszczał na wykłady językoznawstwa. Zapoznał się z językiem syryjskim, hiszpańskim i głównymi językami słowiańskimi. Idea słowiańska, którą na Uniwersytecie Wrocławskim już od lat rozniecił Purkyně, znalazła w Bonczyku gorliwego wyznawcę.

Przez cały ciąg studiów Bonczyk należy do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego. Uczęszczał pilnie na zebrania i sam wypełnił swoimi przekładami trzech pieśni Schillera jeden z wieczorów (231). Niestety dotychczas trudno ustalić, które to pieśni romantycznego poety przełożył. Być może, że zainteresowania Schillerem rozbudziła u Bonczyka wiadomość o powstającym i dość czynnym niemieckim Stowarzyszeniu Schillerowskim.

Debiut poetycki młodego Bonczyka na szerszej arenie, bo z Wrocławia wysłał już pierwszy swój wiersz ojcu, był udany i przyjęto go z aplauzem. Pod wpływem liryki Schillera, swoich przeżyć miłosnych i rosnącej z tego powodu rozterki duchowej powstają we Wrocławiu powściągliwe i ogólnikowe wprowdzenie, ale charakterystyczne dla skrytej psychiki autora erotyki. Dopiero po latach odważy się odczytać młodzieńcze swoje utwory, pisane właśnie po owym wieczorze w Towarzystwie, jednemu człowiekowi, który wzbudził w nim zaufanie, dr. Chłapowskiemu.

Same studia teologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim nie dawały możliwości pogłębienia prawdziwej religijności młodego i uczuciowego kleryka. Panował bowiem na teologicznym fakultecie duch protestanckiego racjonalizmu. Nigdy też później już jako ksiądz do wrocławskiej kurii biskupiej nie czuł zbyt wielkiej sympatii.

Wrocław w czasach Bonczyka reprezentował ducha postępu germańskiej polityki. Książę Polacy zaś starali się zachować nie naruszonymi dawne tradycje ludu śląskiego. Dlatego Bonczyk nie zachwycał się rosnącym rozmachem wrocławskiego budownictwa. Zwrócił raczej oczy ku miejscu swe mu rodzinnemu i dniom szczęśliwych lat chłopięcych.

Ze względów kurtuazyjnych i duszpasterskich przekłada na język polski z niemieckiego życiorysy biskupów Foerstera i Gleicha, oraz opowiadanie historyczne dla ludu katolickiego Konrada de Bolanden. Ale literatura użytkowa nie była głównym celem jego wysiłków. Na długo zapamiętał sobie pochwały, jakimi go już później bezpośrednio nikt nie obdarzył. Recenzji bowiem Kraszewskiego nigdy do rąk nie dostał.

Rozmawiany w lekturze „Pana Tadeusza”, z pogłębionymi o tym utworze wiadomościami, których nabył na wieczorach Towarzystwa, poświęconych krytycznemu rozbirowi wielkiej polskiej epopei, sam zamysłał napisać podobny utwór opiewający

ziemię śląską. Jednak minie wiele lat, zanim powstanie „Stary Kościół Miechowski”. Wtedy przypomni sobie Bonczyk, jak to w powszechnym mniemaniu wieśniaków prawdziwie uczonym człowiekiem mógł być tylko ksiądz. I kto jechał do Wrocławia na studia predysponowany był przez wiejską społeczność na przyszłego „fararza”.

Perspektywa lat zatarła przykre doświadczenia młodości, wyrażone w młodzieńczym utworze pt. „Echo z więzienia”. „Śląska epopea” nosi jednak także ślady pewnych doznań wrocławskich. Wspomni, jak z tego miasta przesączały się na wieś, zgubne, zdaniem jego, prądy rewolucyjne, jak pan-kowie, uciekając przed zemstą ludu, chłonili się do Wrocławia.

W wielkomięskim zaś rozmachu widział się drużącą tradycję, które jedynie mogły skutecznie opierać się naporowi germanizmu. W takim ujęciu Wrocław przedstawiał się Bonczykowi jako siedlisko pruskich urzędników, czyhających na zgubę polskości. Dał temu wyraz w „Górze Chełmskiej”. Prusaków nasłanych na urzędy do Wrocławia drażnił widok rzesz pątniczych, śpieszących na Górę św. Anny z polską modlitwą i polską pieśnią. Przeciw temu rządowi pruskiemu, który reprezentowali

wrocławscy urzędnicy wystąpi w obronie polskiego języka.

Z Wrocławiem wiązały go do końca życia sprawy przede wszystkim wydawnicze. Pisma swoje drukował nakładem Franciszka Goerlich, Reidy i Aderholza.

Zajęty gorliwie działalnością duszpasterską i społeczną na Górnym Śląsku udawał się do Wrocławia bardzo rzadko. Samo miasto nie wywarło na nim silnego wrażenia w latach młodzieńczych i później jest mu obojętne. Obracał się w kręgu wiejskiej umysłowości. Do końca życia został wiernym swojemu chłopskiemu pochodzeniu. W twórczości Bonczyka brak motywu wielkomiejskiego, a Wrocław w polskiej twórczości nie znalazł wyrazu. Bonczyk zaś nie należał do najcięższych pisarzy. Będąc epigonem romantyzmu, wolał się obracać w tematyce życia wiejskiego. Przeżył jednak we Wrocławiu swoje najważniejsze lata i środowisko uniwersyteckie jak i Towarzystwo Literacko-Słowiańskie, a wreszcie młodzieńcze przeżycia pozostawiły swoje piętno na osobowości śląskiego poety.

Wrocławskie Towarzystwo było mu wzorem przy tworzeniu organizacji młodzieżowej, studia językowe i literackie pozwoliły zostać dobrym kaznodzieją, poetą i tłumaczem.

Koło polonistów i slawistów Uniwersytetu Wrocławskiego w r. 1945-46

W końcu listopada 1945 r. studenci polonistyki wrocławskiej podjęli inicjatywę założenia Koła Polonistów i Sławistów. Ambicje mieli duże, określone przez członków założycieli, jako zamiar utworzenia w Uniwersytecie i Politechnice we Wrocławiu ośrodka życia kulturalnego. Zwołano walne zebranie, które wybrało Tymczasowy Zarząd Koła. Został również uchwalony i zatwierdzony przez władze uniwersyteckie statut Koła, a Dziekan Wydziału Humanistycznego Jerzy Kowalski odniósł się z najwyższą sympatią do nowo powstałej grupy organizacyjnej. Koło podzieliło się na cztery sekcje: naukową, literacką, slawistyczną i organizacyjno-techniczną. Realny dorobek pierwszego roku pracy Koła nie był oczywiście równy zamierzeniom. Ale jednak zorganizowano szereg odczytów i referatów, wygłoszonych przez profesorów (prof. Kolbuszewski, prof. Rospond i inni) i przez kolegów-studentów. Odbiło się też kilka wieczorów autorskich młodych „talentów” (albo i bez cudzysłowu: talentów, których wybór pojawia się w obecnej „Odrze”) i parę nieodwołanych w każdym Kole, a co dopiero świeżo założonym, imprez towarzysko-rozrywkowych. Poza tym urządzano wspólne wyprawy do teatru, choć mimo wielokrotnych prób Koło nie uży-

skoła zniżkowych biletów. Nawiązano też kontakty z Kółkami Polonistów na innych uniwersytetach i z redakcjami wielu czasopism. Niektóre spośród redakcyj na prośby Zarządu Koła zaczęły nadsyłać bezpłatnie egzemplarze swoich pism dla organizującej się czytelników.

Jakie były w ubiegłym roku trudności, dlaczego działalność Koła była stosunkowo mało ożywiona, nie czas dziś rozważać. Dziś mamy już własny lokal i nie czterdziestu, ale blisko dwustu polonistów. Jest nadzieja, że Koło wrocławskie rozwine swoją działalność, jak tego życzył nam z początku pracy Dziekan Jerzy Kowalski: „...Zgłębiając dawnych pisarzy, a przeżywając nowych, młodzież polonistyczna zdobędzie wiedzę, nie wyjąłającą uczuć, zyska doświadczenie, nie przeszkadzające nowym próbom i porównaniom...”

Skład Zarządu Koła w r. ak. 1945/46 przedstawiał się następująco: prezes — Hubert Drapella, sekretarz — Hanna Ostachowska, skarbnik — Woodrow Januszewski. Kierownikami poszczególnych sekcji byli: naukowej — Zbigniew Golań, literackiej — Tadeusz Lutogłowski, slawistycznej — Ewa Stoffel, organizacyjno-technicznej — Hanna Balcerska.

O początku historii

Wehodycy cofał się mimowoli. Z otwartych bowiem drzwi wiał chłodek — w grudniu!

Profesora trudno było wyróżnić w gronie studiujących.

Stąd wniosek, że albo był bardzo młody, albo student nieco dojrzały, niż zwykle. Raczej to drugie. Zajrzyjmy bowiem do metryki — w dziekanacie ponad dyskrekcja nie obowiązuje.

Jeden ze słuchaczy urodził się w r. 1888. Wszystkie studenty jednak były znacznie młodsze od brzydkiej połowy studiujących. Tak przynajmniej same twierdziły.

„Po mowie ich poznać ich” — św. Łukasz ses., czyli motto zaczerpnięte z ćwiczeń języka staro-cerkiewno-słowiańskiego.

„Stylistyka, proszę państwa, to do niedawna ów legendarny wąż morski...”

„Proszę zwrócić uwagę na niestylizację subiektywny stosunek Mickiewicza do opisywanej w „Panu Tadeuszu” uczty...”

„W wachlarzu pozycji monograficznych...”

Studentki zajmowały się wszystkim: pracą zarobkową, społeczną, kulturalno-oświatową, organizacyjną... Najmniej studiami.

Studentki przygotowywały się do godnego wystąpienia na balu Politechniki 2 miesiące, do egzaminów... w najlepszym wypadku 2 tygodnie.

„Było cymbalistów wielu...” — było wielu poetów. Jeden z nich pisał o walce z szatanem, drugi frąszki gimnazjalne, trzeci frąszki powszechne (na poziomie szkoły powszechnej), a czwarty tylko o... jedzeniu.

Coś ze statystyki, czyli cyfry, które mówią...

30 studentek, studentów, uczęszczało do jednego podrecznika. 30 studentek i studentów zjadało codziennie 60 obiadów. Wyjątkowo 59.

Zebrań Koła Polonistów w ciągu roku było 3, w tym jedno połączone z oficjalną herbatką. Zebrań towarzyszących i herbatek nieoficjalnych było... coś w każdym razie ponad 100.

W prawie wydawania pisma akademickiego odbyło przeszło 1000 dysput, konferencji i narad. Dotychczas nie wyszło.

Na około 600 godzin wykładów, ćwiczeń i lektur, na najgłośniejszą ze studentek zdołała być na 214...

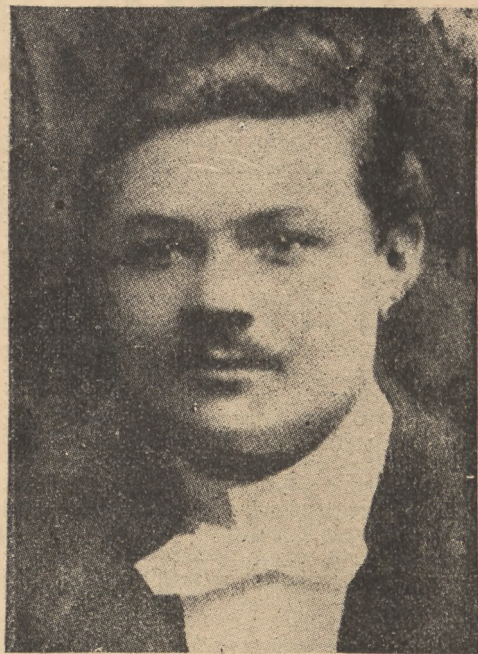
„Już nie łkam, nie płaczę, że dziś jest inaczej...”

Duże, ciepłe, widne aule. Wiele książek w bibliotece. Chmara studentek (a studentów wciąż brak...).

Eh! Starzy studenci, to znaczy młodzi wiekiem, tylko drugorocznicy, nauczyliby je... studiować, gdyby nie obawa, że mogliby to dostrzec profesorowie, lub co gorsza... starsi asystenci.

Józef Głogowski.

Genealogia teraźniejszości



Ignacy Chrzanowski we Wrocławiu 1891 — 1892

Władysław Czaplinski: Ignacy Chrzanowski na studiach we Wrocławiu. Wrocław 1946. Archiwum prześlizgnięte Instytutu Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Zeszyt 1.

Dla udokumentowania niezwyklej dzieł cennej prawdy, że prace polonistyczne w Uniwersytecie Wrocławskim sągają swym początkiem znacznie dalej wstecz, niż ku jesieni roku ubiegłego, Instytut Historii Literatury Polskiej przystąpił do wydawania cyklu broszur, które — zgodnie ze swoją nazwą — będą stanowiły archiwum przeszłości tego Instytutu.

Jako zeszyt 1 „Archiwum” ukazał się artykuł Władysława Czaplinskiego, historyka ze szkoły krakowskiej, o studiach wrocławskich Ignacego Chrzanowskiego.

W przedmowie do wymienionej pracy Tadeusz Mikulski dla charakterystyki zamierzonego wydawnictwa przypomniał fakt, że polonistykę wrocławską posiada już ponad stuletnia tradycja, gdyż katedra języków i literatur słowiańskich powstała tutaj w r. 1841, a przez 50 lat była obsadzona przez uczonych polskich: Wojciecha Cybulskiego i Władysława Nehringa, przy tym ten ostatni odegrał rolę twórcy pierwszego w Polsce uniwersyteckiego seminarium polonistycznego.

Wobec istnienia tak poważnej tradycji studiów wydawnictwo pragnie wydobyć i uporządkować jej ślady.

Pierwszy z tych śladów, a raczej już zapis śladu, stanowi broszura Wł. Czaplinskiego, która sposobem zaciekawiającą i sugestywną narracją przedstawia pobyt, studia i samodzielne prace Ign. Chrzanowskiego we Wrocławiu w latach 1891 i 1892. Ponadto określa atmosferę, panującą w ówczesnym uniwersytecie śląskim, szkicuje grupy studentów, do których Chrzanowski się zbliżał, i sylwetki profesorów, na których wykłady uczęszczał, a przede wszystkim obrazuje serdeczny stosunek, ustalony między mł. trzem Nehringiem a tak późniejszą zasłużoną dla historii literatury polskiej słuchaczem, stosunek utrwalony w listach Nehringa do Chrzanowskiego. Fragmenty z dochowanej korespondencji, listy Nehringa z lat 1893 i 1907, pojawiają się w druku w aneksie do książeczki, opatrzone przypisami.

Atrakcją wydawnictwa jest fotografia Chrzanowskiego, pochodząca z lat wrocławskich i wydobytą z grupy studenckiej.

Poza rzadkimi walorami treści z uznaniem trzeba podkreślić wyraźnie widoczną staranność w opracowaniu szaty zewnętrznej wydawnictwa, które dzięki uprzejmości Redakcji korzysta ze składu drukarskiego miesięcznika „Śląsk”.

Z żywym zainteresowaniem oczekuje się następnego zeszytu Archiwum, w którym ukaże się niebawem szkic prof. Wiktora Hahna pt. „Władysław Nehring w świetle korespondencji” z autorem.

(t. lut.)

Maria Dąbrowska we Wrocławiu

W ciągu ubiegłego roku akademickiego kilkakrotnie odwiedziła Wrocław przedtawie współczesnej literatury polskiej, najciekawszej jednak wśród nich powtarzało się nazwisko Marii Dąbrowskiej. Wielka pisarka odwiedziła nas po raz pierwszy w lutym bieżącego roku i najwiedźniej udało jej się nawiązać żywy kontakt, skoro parokrotnie jeszcze przyjeżdżała do Wrocławia. Podczas pierwszej swej bytności we Wrocławiu wystąpiła Dąbrowska publicznie dwukrotnie. Na zaproszenie Tow. Literackiego im. Mickiewicza wygłosiła odczyt „O Conradowskim pojęciu wierności”. Prelekcja odbyła się w szczerym gronie zaproszonych gości, w sali Instytutu Filologii Klasycznej naszego Uniwersytetu. W tydzień potem, w niedzielę, dnia 24 lutego odbył się w sali „Savoy” zorganizowany wspólnie przez T. U. R. i nowopowstałe Koło Młośników Literatury i Języka Polskiego we Wrocławiu, wieczór autorski Marii Dąbrowskiej. W programie był pierwszy akt dramatu, drukowanego później w „Twórczości” (nr 5 1945 i nr 1 1946) pt. „Staniława i Bogumił”. Poruszyła w nim Dąbrowska problem św. Staniława ze Szczepanowa, odmalowując na tle biskupa zdrayę potęst arcybiskupa gnieźnieńskiego Bogumiła, cichego i skromnego doradcy króla wygnanego. Zgromadzeni nie chcieli poprzestać na częściowym poznaniu utworu. Skłoniła gorącymi prośbami zgłosiła się autorka odczytać dwa pozostałe akty dramatu. Następny raz witał śmy Dąbrowską w pół roku potem w rocznicę powstania warszawskiego. Przypadała ona w tym roku w czwartek, który jest tradycyjnym dniem „czwartków literackich” organizowanych przez Koło Młośników Literatury i Języka Polskiego. „Czwartek” przypadający w dniu pierwszego sierpnia, w którym wzięła udział Dąbrowska, poświęcono w pominięciu z powstania. Dnia 15 sierpnia raz jeszcze usłyszeliśmy Dąbrowską na „czwartku literackim”. Tym razem omawiała problem wojny francusko-pruskiej w 1870 roku w oświeśleniu Flauberta i Goncourtów, ujawniając rzecz jak zwykle głęboko i ciekawie. Zdajemy sobie sprawę z wyróżnienia jakie spotyka Wrocław ze strony odwiecznej go tak często wielkiej pisarki, która zaznaja nam ze swymi pracami częstokroć jeszcze niedrukowanymi. To też każda jej bytność jest nie tylko podniesieniem budzącego się dopiero życia literackiego miasta, ale i cennym przeżyciem dla wszystkich zainteresowanych się literaturą mieszkańców Wrocławia.

Ewa Chodźko

Aktywność literacka Wrocławia

Niełatwo było dotychczas rozwinąć we Wrocławiu szersze życie kulturalno-artystyczne, trudno było nadać mu właściwy rytm. Przyczyna takiego stanu rzeczy zupełnie przejrzysta: do stolicy Dolnego Śląska napływali przede wszystkim ludzie zainteresowani raczej czysto praktycznymi dziedzinami życia niż literaturą czy sztuką w ogóle.

Na tym żywszą więc uwagę zasługuje rozpoczęta już w styczniu b. r. działalność wrocławskiego zespołu literackiego noszącego niezbyt zgrabną nazwę **Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego**.

Niewygodna ta nazwa ma jednak ten walor, że wyraża podwójność zainteresowań zespołu: idą one zarówno w kierunku samej literatury jak i jej narzędzia — języka, nad którego poprawnością i czystością chce Koło — w myśl statutu — pracować.

Rozwijające się pod kierownictwem znanej z przedwojennych i z drukowanych obecnie w „Twórczości” i „Warszawie” utworów literatki Anny Kowalskiej Koło związało się mocno z tutejszym ośrodkiem polonistyki przez członków swego zarządu profesorów Stanisława Rosponda (wiceprezesa) i Tadeusza Mikulskiego (sekretarza) oraz przez grupę studentów-polonistów biorących również ruchliwy udział w jego pracach.

Prace te sprowadzają się przede wszystkim do urządzania cotygodniowych „czwartków literackich” skupiających ostatnio tak liczne grono zainteresowanych, że dość obszerne sala własnego lokalu przy placu Nankera okazuje się często za ciasna.

Wrocławskie „czwartki” można by zgrupować w cztery cykle ich problematyki: pierwszy — twórczość oryginalna, drugi — krytyka i historia literatury, trzeci — zagadnienia językowe, czwarty — kwestie ogólnokulturalne.

Do cyklu pierwszego udało się Kołu użyć wystąpienia pisarzy tej miary co Maria Dąbrowska (dramat „Stanisław i Bogumił”) drukowany w „Twórczości”, Jerzy Andrzejewski (opowiadanie „Synowie”) zamieszczone później w „Kuźnicy” i humoreska „Kukułka” oraz Wojciech Żukrowski (dwukrotnie: „Czysta robota” ze zbioru „Z kraju milczenia” i „Losy Emila”).

Mocno w kronice Koła zaznaczył się również wieczór autorski literatów górnośląskich bawiących we Wrocławiu z okazji Dni Kultury (Wilhelm Szewczyk, Aleksander Baumgardten, Jan Brzoza, Jan Baranowicz, A. Widera, W. Żukrowski. Poza tym Koło gościło Bogdaną Ostromecką (wiersze ze zbioru Światło nad ruiną”) i Annę Czerny (przekłady z poezji francuskiej). Z twórczością własną występowali także pisarze miejscowi: A. Kowalska (nowela „Marnotrawny ojciec”), T. Mikulski (Pociąg” drukowany w „Warszawie”), Stefan Łoś (fragmenty powieści dla młodzieży), A. Szuro i W. Porejko (satyry i fraszki) oraz najmłodszy ze środowiska wrocławskiego: Jerzy Cieślowski (powieść „Różowe migdały”) i Hubert Drapella („Oknem pionka”).

Większość wymienionych utworów (z wyjątkami takimi jak np. wspomniane też „satyry i fraszki”) — to pozycje silne i próby udaje.

W zakresie drugim — nakreślono nowe portrety literackie: H. G. Well’sa (A. Ko-

walska), Józefa Lompy (dr. Janina Ender), czeskiego poety Brzeziny (dr. Jerzy Pogonowski) i poznańskiej pisarki Julii Molińskiej-Wojkowskiej (prof. T. Mikulski — ogłoszone później w „Śląsku”). Zajęto się żywotną kwestią stosunków między literaturą a psychologią (prof. Mieczysław Kreutz) oraz problemem bohaterstwa w najnowszym piśmiennictwie polskim i angielskim (A. Kowalska i D. Bienkowska).

Dyskusje nad sprawami języka literackiego i potocznego zainicjował dwukrotnie prof. S. Rospond; mianowicie swymi referatami zatytułowanymi „Pisarz i jego słowo” i „Walka z niechlujstwem językowym”. Przy tych okazjach wyłoniła się szczególnie paląca konieczność roztoczenia kontroli nad polszczyzną artykułów prasowych.

Na czoło „czwartków” poświęconych zagadnieniom ogólnokulturalnym wysunął się ten, na którym kustosz Zakładu Ossolińskich dr. Pajączkowski omówił wczorajsze i dzisiejsze losy tej zasłużonej instytu-

cji przenoszącej się obecnie ze Lwowa do Wrocławia.

Wśród tematów z dziedzin pozaliterackich znalazły się również: „Patos i trzeźwość” (w sprawie powstania warszawskie) Marii Dąbrowskiej, „Kościoły wrocławskie” Andrzeja Jochelzona oraz „Blaski i cienie polityki bułgarskiej” prof. S. T. Grabowskiego.

Uwydatnić trzeba dbałość o tematykę Ziemi Odzyskanych. Wyraz tej dbałości stanowią zarówno „Losy Emila” (osadnika dolno-śląskiego) jak i referaty o Lompie, o Molińskiej-Wojkowskiej, Ossolineum i kościołach wrocławskich.

Początkowy brak odpowiedniej ilości prelegentów utrudniał selekcję tematów, co powodowało czasem ich przypadkowość i zajmowanie się sprawami nie wchodzącymi w zakres właściwych zainteresowań Koła (jak np. oznaczony także referat o polityce bułgarskiej). Obecnie jednak liczba zgłoszeń wykonawców na przyszłe „czwartki literackie” jest tak znaczna, że

umożliwia nie tylko ustalenie programu na dłuższy okres z góry, ale i jeszcze bardziej celowy dobór zarówno autorów jak i materiałów. Ten dodatni objaw pozostaje oczywiście w najściślejszym związku z repolonizacją Wrocławia, która stała się wreszcie faktem zupełnie dokonanym.

Jak już zapowiedziała prasa korzystająca z komunikatów ZAP’u, Koło Literackie przystąpiło do wydawania własnego periodyku pod nazwą „Zeszyty Wrocławskie. To pismo o charakterze literacko-krytycznym spełni m. in. rolę swoistego archiwum Koła przez to, że będzie zawierało prace odczytywane i omawiane na „czwartkach”. Pierwszy numer „Zeszytów” ukaże się w początku grudnia br.

Dalszy rozwój wrocławskiego Koła Literackiego jest zagwarantowany także przez wzmagający się napływ zawodowych literatów. Znamienny przejaw tego napływu stanowi osiedlenie się we Wrocławiu Wojciecha Żukrowskiego, który objął wiceprezesurę Koła. **Tadeusz Lutogńewski**

Oddział Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza we Wrocławiu

Jest rzeczą naturalną, że przy ośrodkach uniwersyteckich powstają instytucje, skupiające na innej płaszczyźnie pracę naukowców. Charakter owych różnych „akademii” i „towarzystw”, sięgających w Polsce swą tradycją gdzieś samych początków wieku XIX, ulegał ewolucji wraz z przemianami dokonującymi się w całości życia naukowego. Wzrastająca specjalność i coraz ściślejsze rozgraniczanie poszczególnych dziedzin nauki, sprawiły, że obok ogólnych jak dawniej „towarzystw naukowych”, powstawać jeły instytucje skupiające znawców i badaczy wyodrębnionych zagadnień i zjawisk. Instytucją taką, grupującą od lat 60-ciu polskich historyków literatury, początkowo wokół zagadnienia całkiem wąskiego (twórczość Adama Mickiewicza), z czasem rozszerzając perspektywę — jest Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. Towarzystwo to objęło swym zasięgiem wszystkich niemal naukowców polskich z tej dziedziny, tak, że Oddział Towarzystwa był nieodłączną agendą katedr historii literatury w danym ośrodku uniwersyteckim. Tego typu sieć organizacyjna nie mogła się oczywiście wytworzyć od samego początku istnienia Towarzystwa, już choćby wskutek warunków politycznych okresu, w którym Towarzystwo powstało. Tradycje wrocławskie Towarzystwa łączą się właśnie z owym pierwszym okresem, kiedy to Roman Piłat we Lwowie począł organizować i kształcić grono „mickiewiczologów”. Wówczas jednym z aktywnych, zamiejscowych współpracowników stał się Władysław Nehring, człowiek, którego ślady pracy znaczą nam na każdym kroku tak cenną dzisiaj ciągłość studiów polonistycznych we Wrocławiu, „patron” niejako naszych obecnych poczyną. Przygotował Nehring dla Towar-

zystwa rozprawkę o nauce Towiańskiego i o społecznych poglądach Mickiewicza, a przez długi czas gromadził materiały i parał się z trudnościami opracowania „Prelekcji paryskich” Mickiewicza, które miał do podjętego przez Towarzystwo zbiorowego wydania dzieł poety przygotować.

Potem, jak wiadomo, przerywa się ciągłość studiów polonistycznych we Wrocławiu; przerywa się też więc współpraca z Towarzystwem Literackim im. A. Mickiewicza. Gdy rok temu, w zupełnie już innych warunkach odżyły studia historyczne — literackie na polskim Uniwersytecie Wrocławskim, naturalnym dopełnieniem tego stanu rzeczy stało się **utworzenie Oddziału Wrocławskiego Tow. Lit. im. A. Mickiewicza**. Formalnie zostało to dokonane na zebraniu organizacyjnym w dniu 1.II.1946, zwołanym przez obecnego przewodniczącego Towarzystwa, prof. Juliana Krzyżanowskiego, który zainaugurował jednocześnie zebrania naukowe Oddziału interesującym odczytem „Zagadnienie arcydzieła literackiego”. Z natury rzeczy Oddział personalnie związany został przede wszystkim z Instytutem Historii Literatury Polskiej. Na przewodniczącego powołano prof. St. Kolbuszewskiego, zastępcą jego został dr. Antoni Knot (dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu), sekretarzem prof. T. Mikulski. Poza wspomnianym zebraniem wstępnym, w czasie do końca maja 1946, odbyły się jeszcze trzy zebrania dyskusyjne z prelekcjami: prof. Jerzego Kowalskiego „Popas w Upicie” Mickiewicza (drukowane następnie w miesięczniku „Meander” I, 1946, nr. 2), prof. Władysława Czaplińskiego „Studia Ignacego Chrzanowskiego we Wrocławiu” (drukowany z kolei w miesięczniku „Śląsk”, I, 1946 nr. 5 i w wydawnictwie osobnym), prof. Romana Pollaka

„Morze w literaturze polskiej”. Ponadto staraniem Oddziału odbył się dn. 16. II. 1946 publiczny odczyt Marii Dąbrowskiej o „Conradowskim pojęciu wierności” (drukowany później w czasopiśmie: „Warszawa”, 1946, N. 1). Było to pierwsze publiczne wystąpienie pisarki na terenie Wrocławia, będące dla życia kulturalnego miasta wydarzeniem dużej wagi. Przekraczając już ramy okresu sprawozdawczego, zaznaczamy jeszcze, że delegacja Oddziału Wrocławskiego brała czynny udział w obradach zjazdu naukowo-literackiego im. Bolesława Prusa, zorganizowanego przez Towarzystwo w Warszawie w dniach 28, 29 i 30 września bieżącego roku.

* * *

Polonistyka wrocławska wciąż walczy z wieloma trudnościami. Od podstawowej troski o gromadzenie niezbędnego księgozbioru polskiego, po tysiąc drobnych kłopotów administracyjnych restaurującego się Uniwersytetu (że za mało krzeseł, że piece dymią itd). A przy tym normalny tok pracy uniwersyteckiej: wykłady, ćwiczenia, seminaria... I jednocześnie dobrowolne zająć nowego wysiłku organizowanie pracy historyczno-literackiej na płaszczyźnie Oddziału Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, świadczy o dużej prężności środowiska wrocławskiego. Drobek pierwszego roku pracy Oddziału Wrocławskiego, jest, obiektywnie rzecz biorąc, skromny. Ale chyba równie obiektywnie można stwierdzić, że krzepiący i optymistyczny jest sam fakt jego istnienia.

Wanda Leopold

Koniec kolumn „Polonistyka Wrocławska”

Kronika słowiańska

„HLAS” O SPRAWIE ŁUŻYCKIEJ.

Wychodzący w Morawskiej Ostrawie dziennik czeskosłowackiej partii „lidowej” (katolickiej) „Hlas” umieścił w numerze z 19 października dłuższy artykuł wstępny Jar. Pechaczka „Pomóżcie Serbom Łużyckim”, w którym autor zwraca uwagę, że zbliżająca się konferencja pokojowa z Niemcami stawia przed Czechosłowacją cały szereg zadań: „Oprócz własnych interesów nie możemy zapomnieć o losie małego słowiańskiego narodu Serbów Łużyckich. Pokój wersalski nie dał im tego za czym tęsknili, ani samodzielności, ani przyłączenia do Czechosłowacji, ani nawet autonomii. Musieli walczyć o zachowanie swego bytu narodowego, aż dosięgł ich hitlerizm, który im odebrał szkoły, instytucje, prześladował ich język. Cudem tylko przeżyli to wszystko Łużycanie i z nadzieją przywitani wyswabdzającą ich Armie Czerwoną i sąsiedztwo słowiańskiego polskiego narodu nad Nysą. Zdawało się, że w końcu zostanie spełnione to, czego im odmówiono po pierwszej wojnie światowej, to jest uzyskanie możliwości swobodnego rozwoju.

Niestety rzeczywistość jest dużo mniej różowa a widoki na przyszłość jeszcze

gorsze. Mimo całej przyjaźni, którą Czerwona Armia okazuje Łużycanom, ich sytuacja jest pod wielu względami dużo gorsza niż była przed przyjściem Hitlera do władzy w r. 1933. Nie mają dziś ani jednego dziennika czy czasopisma. Przy wyborach musieli kandydować na listach niemieckich. Przy spisie ludności, który się szykuje, nie mają żadnych możliwości agitowania między ludem. Administracja jest w ręku Niemców. Duże trudności powstają z zalewu kraju przez Niemców wysiedlonych z Polski i Czech. W tym zalewie jest dziś śmiertelne niebezpieczeństwo dla dalszego bytu narodowego Łużyczan.

Mimo tego Łużycanie nie opuszczają rąk. Z godną podziwu ofiarnością walczą działacze łużyccy o wywalczenie chociażby najmniejszych praw dla swego narodu. Ich praca jest ciężka. Nie mają prasy, nie mają środków finansowych. Jest niebezpieczeństwo, że na konferencji pokojowej znów świat pozostanie głuchy na głos tego małego słowiańskiego narodu.

W tej sytuacji zwracają się Łużycanie do swych słowiańskich braci a zwłaszcza do „nas. Czesi byli często jedynymi, którzy wyrażali im nie tylko przyjaźń ale i ofiarowali swą pomoc. Jest więc obowiązkiem

wszystkich narodów słowiańskich a zwłaszcza nas Czechów nie zapomnieć o losie bratniego narodu, który — choć stosunkowo słaby — stale walczy z germańską przewagą o ostatnie pozycje niemieczyny nad Sprawą i Nysą”.

Artykuł dr Pechacza jest niezmiernie charakterystyczny dla obecnych nastrojów Czechosłowacji w stosunku do sprawy łużyckiej. (jr)

NIEMCY O ŁUŻYCHANACH

Przywódca niemieckich chrześcijańskich demokratów ze strefy sowieckiej jest za przesiedleniem Łużyczan do Polski lub Czechosłowacji.

Wychodzący w strefie brytyjskiej „Span-dauer Volksblatt” w numerze z 20 sierpnia podał wypowiedź przywódcy niemieckiej partii CDU (Chrześcijańsko-Demokratycznej Unii) w strefie sowieckiej Jakuba Kaisera w Zgorzelcu na temat granic wschodnich Niemiec. Przywódca chrześcijańskich demokratów wyraził się, że „o ile chce się uczynić Niemcy zdrowymi, to musi w tym samym sensie rozwiązany być problem granic Niemiec, przede wszystkim

granic wschodnich”. Jeżeli chodzi o Łużyczan, notatka podkreśla, że „tylko 2000 mieszkańców przyznało się w r. 1925 do narodowości wendyjskiej, podczas gdy obecnie mówi się, że jest ich pół miliona”. W stosunku do wysuwanych ostatnio pretensyj łużyckich, Jakub Kaiser zaproponował, żeby „Łużycanom dać możliwość przesiedlenia się do terenów w Czechosłowacji lub Polsce, opróżnionych po wysiedleniu Niemców”. (jr)

WYSTAWA KULTURY ŁUŻYCKIEJ

W Krościcach na Łużycach staraniem Jana Mieszkanka otwarta została wystawa, dająca przegląd osiągnięć kulturalnych Łużyczan. Wystawiono wiele pamiątek kulturalnych, przechowywanych przez patriotów łużyckich do dnia dzisiejszego, jak książki, gazety, obrazy, nuty itp. Ujrzelśmy tu także cenne przedmioty z Muzeum Macierzy Łużyckiej w Budziszynie. Na stole nut zwracały uwagę ludowe instrumenty muzyczne jak skrzypce, tarakawa. Pokazano także urządzenie izby górnołużyckiej. Cenne przedmioty znalazły się w dziale rzemiosła ludowego (ceramika, obrazy, hafty).

Brz.

Głos to nie pierwszy



Edmund Osmańczyk, autor „Spraw Polaków”

Nie pierwszy to raz w dziejach Polski odywa się głos „irytujący” polskiego czytelnika swoimi wypowiedziami.

Czyniąc to, Edmund Osmańczyk w swych „Sprawach Polaków”, wydanych przez AWIR, aktualizuje tylko pewne prawdy, których Polacy słuchali już nie raz z tą samą „irytacją” i niestety... bez większych skutków wychowawczych.

Prawda w oczy kole. Dlatego książka drażni. To co słuszne o naszym życiu, o naszych cechach narodowych, oburza nas najwięcej, a na śmiałka, który odważy się powiedzieć narodowi całą nagą prawdę, ściągą nieledwie kłatwę. Choćby ta prawda płynęła z dobrego polskiego serca, jak niewątpliwie płynie u Osmańczyka. Gorzej, gdy wadom polskim przeciwstawia się zalety naszego najzagorzalszego wroga.

Z obserwacji tego, co się dzieje w powojennej Europie, Osmańczyk zimnym okiem dojrzałego męża i bez ceregieli, rozłącza przed nami prawdę porównawczą o „nierównorządności” polskiej siły z siłą innych narodów, a szczególnie z odrastającą cokolwiek przedwcześnie siłą narodu niemieckiego.

Kto chce wejść na szczyty, ten musi umieć patrzeć w przepaść. Mężnym spojrzeniem porównuje Osmańczyk tę przepaść między poziomem naszego życia, a innych zachodnio-europejskich narodów. I wyciąga stąd logiczne, nieodparte, polityczne wnioski. Dostrzeżenie tych kontrastów jest nieuniknione, gdy się wędruje z nad Wisły nad Sprewę, Wełtawę i Sekwanę.

Osmańczyk jest człowiekiem Polski Zachodniej. Dotychczas musiał patrzeć na zachód, bo walka z Niemcami, walka o polskość w obrębie państwa niemieckiego tak dyktowała. Teraz jest z nami. I widzi to co i my widzieliśmy przed ostatnią wojną, gdy przechodziliśmy tę samą „repatriację”, którą dziś przeżywa Osmańczyk. I też chciałby podciągnąć do poziomu zachodnio-europejskiego swój naród, z którym żyć ma teraz w jednym państwie. Chciałby wyrównać poziomy i osiągnąć „równorządność sił”.

Wędrowkę, którą odbył po wojnie Osmańczyk, miliony Polaków odbyło po całym świecie w czasie wojny. Widząc to samo, myśleli to samo. Stąd też mniej oburzają takie poglądy dziś, aniżeli przed wojną, kiedy za identyczne sądy groziła anatema narodowa.

Książka Osmańczyka ma więc przygotowany grunt.

Przez cały czas czytania tej książki, którą czytałem już w odcinkach w „Przekroju”, prześladowały mnie rozmaite myśli:

Przecież to wszystko już czytałem. Ten sam dramatyczny ton brzmi już w książce Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Staszycy, Konarskiego. Wszak to samo zagadnienie płonie w duszy Stanisława Brzozowskiego w jego „Legendzie Młodej Polski”. A czy bardzo byśmy się oddalili od racji, gdybyśmy książce Osmańczyka dali tytuł „Myśli nowoczesnego Polaka”, książki, napisanej przez młodego jeszcze Romana Dmowskiego. A nad czymże zastanawia się tak wytrwale Jan Stachniuk w swych „Dziejach bez dziejów”? Iluż to ludzi czytało w Polsce te książki? Ba, iluż to ludzi z ukończonymi uniwersytetami zna je wszystkie chociażby z tytułów! Czy i ona tak przebrzmi, jak tamte?! —

Wielką zasługą redakcji „Przekroju” jest spopularyzowanie takiego podejścia do najistotniejszych zagadnień bytu narodo-

wego i postawy, którą streszczają słowa: „Bez złudzeń Polacy!” Tylko taka postawa może postawić na nogi naród, który żył dotychczas samymi złudzeniami. Zwłaszcza w czasach, kiedy większość publicystów kołysze naród przyśpiewem znanym już ze swej szkodliwości, „byczo jest”. Uczcie się wy, fałszerze rzeczywistości, od Osmańczyka, że **głos prawdy, głos przestrogi może być także głosem pozytywnym!**

„Sprawy Polaków” należą do tych rzadkich książek, w której jest więcej myśli, niż ich w niej spisano.

Przed wszystkim tchnie z niej kategoryczny **przymus rewizji** najbardziej podstawowych pojęć naszej dotychczasowej ideologii narodowej. Tej rewizji poddane muszą być treści, z którymi zrośliśmy się w jedno ciało, które stały się świętościami narodowymi. Łącząc nas z nimi często te same sentymenty, jakie łączą pijaka z alkoholem, który go zabija.

Czyż nie jest taką herezją w stosunku do naczelnych założeń naszej dotychczasowej ideologii teza Osmańczyka, że już teraz winniśmy szukać przesłanek do pokojowej współpracy z Niemcami? Czyż po tych

Gawędząc o sprawach zachodnich, ale przede wszystkim o drażliwym i żenującym problemie stawiania drogowskazów zachodnich, w szczególności zaś w związku z problemem odzyskanego szmatu ziemi nad Odrą i Nysą — przypomnieć wypada działalność grupy warszawskiej, której patronował od początku Antoni Wilder; przeszedł krętą drogę od akademickiego koła w Szkole Nauk Politycznych, szersze zrzeszenia akademickie, przetrzymał przyjaźń polsko-niemiecką Becka, przetrzymał również obóz, prowadził Biuro Ziem Zachodnich przy Ministerstwie Administracji Publicznej, obecnie działa w Londynie. Podobnych dróg zespołów i ludzi można by wymienić kilka. Tyle z historii — polskiej myśli zachodniej. Dzisiaj wyliczymy Instytut Zachodni, Polski Związek Zachodni, Zachodnią Agencję Prasową, które na rynku poznańskim w dekoracji ruin i radośnie odbudowywanego miasta radzą, dyskutują i publikują, gromadzą ludzi w wielkich zjazdach (dziennikarzy zachodnich, lużyckich). W grupie warszawskiej sektory Ministerstwa Ziem Odzyskanych, Biuro Ziem Zachodnich przy Ministerstwie Oświaty, Akcja Wydawnicza Helsztyńskiego (planowana przeważnie, niestety,) reprezentują sprawy zachodnie na scenie problemów ogólnopolskich — w mierze i procencie (nam z zachodu) wydającym się co najmniej skromnym.

Kraków dał kursy i publikacje wartościowe przez swą datę (kwiecień 1945!), użycza ze swojego rezerwuaru fachowców i uczonych, dał gościnę dla Biura Studiów Osadniczo-Przesiedleńczych. Katowice, jak łatwo przewidzieć, obracają się w kręgu techniki, realizacji pewnych spraw, na jednym niestety, tylko wycinku — Instytutu Śląskiego, — zajmując się problemami.

Konferencja w sprawie Odry, porozumienie Rady Kultury z Uniwersytetem Wrocławskim w sprawie miejsc dla studentów na Uniwersytecie Wrocławskim, Uniwersytetów Powszechnych Instytutu, oto imprezy o szerszym zasięgu (doliczyć do nich należy międzyministerialną sierpniową konferencję w sprawie gospodarki bibliotekami, muzealiami i pracowniami naukowymi na Śląsku, która zamknęła ostatecznie okres szabru kulturalnego na Śląsku Górnym i Dolnym). W tym układzie ośrodków twórczej myśli Ziem Zachodnich, Wrocław, zajmujący położenie centralne, posiadający wielki warsztat naukowy — uniwersytet i politechnikę, powinien być również centralne zdanie posiadać.

Tory prac i problematyki stawianej tutaj zbiegają się zbyt rzadko. Regionalny Urząd Planowania Przestrzennego, Dyrekcja Dróg Wodnych, sprawy osadnictwa, uniwersytet i towarzystwa naukowe, komisja kulturalno-oświatowa WRN., spotykają się w przypadkowym układzie i dość rzadko.

Instytut Śląski we Wrocławiu nie przesądza ani znaczenia ani dalszych losów projektowanej imprezy, rozpoczął „Wie-

zbrodniach, jakich dopuścili się na żywym ciele narodu polskiego Niemcy w ostatniej wojnie, każdy Polak nie wzdyga się na samą tę myśl? Czyż nie buntuje się w każdym z nas dogłębnie nasza godność narodowa?

A przecież w świetle rzeczywistości, którą Osmańczyk oddaje, nasza reakcja na tę tezę jest tylko sentymentem, który nas już tyle razy zgubił.

I takich spraw polskich, które trzeba **inaczej widzieć**, jest cały alfabet. Do nich należą: nasz stosunek do Związku Radzieckiego, gdzie jeszcze straszą upiory starych uprzedzeń, nasz stosunek do kościoła i religii, w którym więcej drzemie przyzwyczajenia i bezwładu, niż świadomej postawy, nasz stosunek do Czechów i innych narodów, nasz stosunek do państwa i odwrotnie stosunek państwa do nas, obywateli, itd. itd.

Książka Osmańczyka tych spraw nie tyka. Nie wyczerpuje ona więc wszystkich „Spraw Polaków”. Jak się rzekło daje nam ona tylko prawdę porównawczą, prawdę sumiennego reportażu, który zestawia to, co jest gdzieś indziej, z tym co jest u nas. Będzie ona

czory Zachodnie”, aby stworzyć platformę dla takich właśnie spotkań. Przewidziano dotąd 5 zebrań dyskusyjnych, na których poruszone miałyby być sprawy ogólnych tendencji życia kulturalnego w Polsce (Jerzy Borejsza), wpływy wartości, zależności „wschodnie” i „zachodnie” w dziejach Polski (Roman Lutman), niebezpieczeństwo i dzisiejsza ofensywa niemiecka (Bolesław Sroeki), geopolityczne układy sił dotyczące pogranicza zachodniego (Stanisław Leszczycki), perspektywy życia gospodarczego (Eugeniusz Kwiatkowski).

Cykl otworzył dnia 11. 11. 1946 w sali Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu prezes „Czytelnika” Jerzy Borejsza prelekcją „Kultura polska wobec przebudowy gospodarczej kraju”.

Prelegent na wstępie naszkicował historię nastrojów, rozwój przekonań na przestrzeni ostatnich dwóch lat, wykazując bezsens pocucia tymczasowości i strachu. Podłożem dla nowej rzeczywistości są rewelacyjne zmiany w stosunkach życia polskiego, które można ująć w następujące punkty:

1. **przekształcenie państwa wielonarodowościowego w państwo jednonarodowe,**
2. **przesunięcie geograficzne ziem polskich na zachód,**
3. **przejście z gospodarki typu liberalnego w gospodarkę planową,**
4. **zmiana struktury wsi przez dokonanie reformy rolnej i osadnictwa,**
5. **przejście z form państwa rolniczoprzemysłowego do form państwa przemysłowo-rolniczego.**

Losy wojny zdecydowały całkowicie o nowym układzie sił w Europie Środkowej i na Bałkanach. Polityka wygrywania krajów Europy Środkowej, została przerwana w grze między Moskwą, Berlinem, Wiedniem i Londynem. W tym układzie stosunków — granice Polski na Odrze i Nysie są stałe, są nieodmiennie. Granice te nie leżą li tylko w interesie Moskwy, Belgradu, Pragi i Sofii. Wkraczamy w na długo obliczony okres czasu pokoju, odbudowy i rozbudowy rzeczywistości polskiej. Gdy się rozważy prądy, które w przeszłości nurtowały Polskę, można przewidzieć nowe drogi, którymi pójdzie rozwój kultury. Zdać sobie należy sprawę z przemian gospodarczych i politycznych. Nie można więc przypuszczać, by górę miał wziąć pozytywizm ze swoją rezygnacją filozoficzną, zniechęceniem do walki na każdym polu, również i na gospodarczym. Nikt nie będzie negował romantyzmu z jego patosem walki rewolucyjnej, patosem koniecznym dla każdej twórczości i przebudowy. Niebezpiecznie jest operować pojęciami kultury wschodniej i zachodniej. Dało to wiele rozczarowań, jakie zawsze wystąpią, gdy się operuje pojęciami starymi (o Rosji cesarskiej i wygodnych czasach powiktoriańskich), myśląc o połowie wieku dwudziestego. Przysnajmy, że nie-

przeło tylko nowym sygnałem ostrzegawczym, materiałem do rozmyślań.

Dobrze jednak jest, że Osmańczyk zaczyna z nami żyć i pracować od tak wnikliwego spostrzeżenia tej prawdy porównawczej. Bo wtedy będzie musiał siłą swej własnej logiki szukać za prawdą wewnętrzną. Widząc „przemoc zewnętrzną” i „niemoc wewnętrzną”, będzie musiał szukać jej przyczyn. Tylko znając przyczyny, można usuwać skutki zła. W tę dziedzinę książka już nie wkracza, a wkroczyć będzie musiał Osmańczyk.

Z jego pytania „Czy pokonamy dwóchsetletnią słabość?” wypływa trudniejsze pytanie: Jak pokonamy?

W skrócie przyczyny słabości narodu polskiego łączono dotychczas z ustrojem: szlacheckim i latyfundiarnym, pańszczyzną, liberum veto i t. p., od Dmowskiego zaś z charakterem narodu. Sprawa jednak może być bardziej skomplikowana.

Na razie nasze nadzieje pokładamy w olbrzymim eksperymencie ustrojowym, jakim są reformy demokratyczne w koncepcji polskiej demokracji ludowej.

Eryk Skowron.

Drogowskazy zachodnie

stety, nie tak liczne środowiska potrafią obiektywnie patrzeć na ważne zdobycze i osiągnięcia kulturalne Związku Radzieckiego.

W dyskusji ilustrowano zagadnienia poruszone przez prelegenta z trzech punktów widzenia — praktycznych rozwiązań architektury i urbanistyki, syntez historycznych i życia kulturalnego w jego formach najbardziej powszechnych (oświaty dorosłych w szczególności). Architektę, w pierwszym rzędzie na terenie Wrocławia, stoją wobec trudnego zadania eliminacji zabytów i śladów dorobku kulturalnego niemieckiego, z drugiej strony stoją wobec wielkiej odpowiedzialności — jak kłaść nowe akcenty na obliczu miast, bo czynią to już dzisiaj, a zostawiają rzeczy trwałe, widzialne dla wszystkich i komentowane przez wszystkich. Stąd płynie pewien niepokój, stąd potrzeba spiesznego ustalenia maksym, haseł i hierarchii potrzeb.

Historyków frapuje klasyfikacja momentu dziejowego na Ziemach Odzyskanych. Przeżywa się tutaj trudny problem likwidacji dorobku kultury niemieckiej, likwidacji, która nie może być ani gwałtem ani rabunkiem, a jest niepowtarzalnym w dziejach procesem. Mianowicie procesem świadomego wyłączenia życia niemieckiego, starannego wyboru i zachowania na tych ziemiach elementów kultury polskiej, trudnego nawiązywania do tradycji odległej, bo 600-letniej.

Życie kulturalne w swoim przekroju najbardziej charakterystycznym: na płaszczyźnie domów kultury, uniwersytetów powszechnych, oświaty dorosłych w nowym układzie sił gospodarczych ma olbrzymie i nieprzewidywane dotąd możliwości. Dziejście przebieg formy tego życia dają raczej wnioski pesymistyczne. Warunków materialnych, pracowników nawet, dostarcza warstwa proletariacka, konsumenci przecież rekrutują się przeważnie z drobnego mieszczaństwa i inteligencji. W uniwersytetach powszechnych, gimnazjach i liceach dla dorosłych liczba robotników nie przekracza 9 proc.

Te anomalie, błędy formy działania świetlic i domów kultury, płyną prawdopodobnie z braku ustalonych linii, utrwalań celów i haseł. Dalej — ważne jest zorganizowanie współczynnika kultury, w trójkacie: rada, załogowa, — związki zawodowe artystów, uczonych i popularyzantów, — fundusze dużych zakładów, zjednoczeń i samorządów (trójkąt taki układa i ostatecznie ułożyła Rada Kultury Województwa Górnośląskiego).

Spodziewać się można, — przesądzać trudno, — że następne dyskusje nie ograniczają się do zapytań i opisu stanu dzisiejszego. Instytut Śląski zamierza publikować prelekcje i streszczenia dyskusji, jeśli by te ostatnie dawały materiał cenny i pouczający. W ten sposób zdobywcze Wieczorów Zachodnich znajdują szerzy krąg odbiorców i zostaną utrwalone.

Agata Kajzer.

Korespondencja

Jeszcze o nazewnictwie

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W tygodniku „Odra” spotykam zwłaszcza u młodszych pisarzy, ostatnio w Nr 29, str. 6 w liście ze Szklarskiej Poręby p. Danuty Strzeszewskiej-Bienkowskiej na oznaczenie Karkonoszów nową nazwą „Góry Olbrzymie”. Jest to nowość geograficzna, wynikająca ze złego tłumaczenia niemieckiej nazwy „Riesengebirge”.

W nauce ludowej „Riesen” to ścieżki górskie, służące do transportu drzewa z gór w dolinę. W niemieckich podręcznikach szkolnych geografii, opisujących Sudety, znajdujemy wyjaśnienie, iż nazwa „Riesengebirge” pochodzi od powyższych ścieżek. Znaleźć je można również w „Erkunde für Mittelschulen, V Teil, str. 53, Fischer Geistesbeck”.

Istnieje ogólnie przyjęta nazwa „Karkonosze” na powyższe pasmo górskie, pochodzenia słowiańskiego, nie zachodzi więc potrzeba posługiwania się nieścisłym tłumaczeniem z języka niemieckiego.

Sądzę, iż „Odra” jako czasopismo Ziem Odzyskanych, zainteresowana jest w prostowaniu tego rodzaju pomyłek.

T. K. (Bielsko)

Glossy i notatki

Wśród czasopism

Na łódzkim zjeździe literatów mówiono o niepokojach o pogarszającej się sytuacji polskiego czasopiśmiennictwa. Powodem tego niepokoju dawały dochodzące z różnych stron kraju wieści o zawieszeniu lub też zamierzonej likwidacji bądź trudnej sytuacji finansowej tego czy innego periodyku. Powiedzmy sobie szczerze, że niepokój ten nie jest bezpodstawny. Periodyki polskie przy znacznie wyższych nakładach niż miało to miejsce przed wojną nie stanowią najczęściej komórek gospodarczo samodzielnych, a tym mniej dochodowych, są czytane, potrzebne i pożądane, mają po kilka, kilkanaście i nawet kilkadziesiąt tysięcy odbiorców, ale daleko im do finansowej niezależności i funkcjonowania o własnych siłach. Pod tym względem sytuacja w stosunku do czasów przedwojennych nie uległa poważniejszej zmianie na lepsze. Przykład „Przekroju” czy „Śpiłkę” nie mogą tu być marnotrawne, choć np. na temat pierwszych z tych tygodników można by powiedzieć dużo rzeczy pozytywnych. Nie odnieśliśmy chyba od prawdy, jeśli stwierdzimy, że o obecnym stanie polskiej prasy periodycznej decyduje mecenat przede wszystkim wielkich firm wydawniczych i mecenat państwa obok kilku innych pomniejszych, że tak powiem, mecenatów. Bez tego czynnika czasopiśmiennictwo nasze spadłoby poważnie ilościowo. Periodyki, które by się utrzymywały, wiodłyby żywot suchotniczy, przy czym dla czytelnika najprzykrejze są diagnozy byłaby ta, która doprowadziłaby do stwierdzenia suchoty redakcyjnych. Nie ulega wątpliwości, że pisma pewnego typu i to nawet poważniejsze mogłyby sobie u nas na pewien czas ugrunтовać byt niezależny, ale to są zagadnienia innej natury, które nie zmieniają faktu, że dziś w tej dziedzinie pracy kulturalnej mecenat jest niemal nieodzowny. Oczywiście w państwie demokratycznym powinna istnieć także prasa niezależna (zależnym nie trzeba być tylko od mecenasa, można być także w zależności od własnego stroniactwa), ale skoro nie mamy na nią obecnie warunków, tym więcej musimy cenić tych, którzy byt takich czy innych pożytecznych periodyków podtrzymują i gwarantują. Przewaga korzyści płynących z tego faktu nad strunami niemym jest na razie widoczna.

Dodatni wpływ istnienia wspomnianych mecenatów wyrażony jest zwłaszcza na odcinku miesięczników, których mamy kilka na wysokim poziomie pod każdym względem. Myśl ta nasuwa się od razu przy lekturze takiego np. miesięcznika jak „PROBLEMY” (wydawnictwo „Czytelnika”) który obejmując 70 stron druku, bogaty materiał literacki, prace wybitnych uczonych i specjalistów kosztuje zaledwie 30 zł. „Zaranie się” przy tym samym dużym formacie, zbliżonej choć nie tak bogatej szacie graficznej i takiej samej m.in. w tej objętości, obliczone tylko na zwrot kosztów własnych kosztuje zł 200. „Problemy” to jedno z najlepszych pism w Polsce powojennej. Jak głosi podtytuł, poświęcone jest zagadnieniom wiedzy i życia, przynosi treści niezwykle barwną i interesującą, w opracowaniu ludzi, których nazwiska są synonimami zaufania, jeśli chodzi o dziedzinę poruszanych przez nich spraw i zagadnień. Treść uzupełnia piękny, celowo dobrany i dobrze zestawiony materiał ilustracyjny, uzupełniony ładnie pod względem graficznym rozwiązanymi tytułami, a nawet getymi inicjałami. Pismo interesujące jest już od pierwszych stron ze spisem treści, gdzie obok nazwisk autorów i tytułów artykułów umieszczona jest dla każdej pozycji zwieczka: nazwisko każdego występującego w zeżycie autora jest opatrzone krótkim komentarzem o jego dotychczasowej pracy naukowej, literackiej czy publicystycznej. Poza tym każdy artykuł na wzór periodyków angielskich posiada pod tytułem dwa, trzy zdania wprowadzające i zwracające uwagę na treść danego artykułu. Trudno tu szczegółowej omawiać treść poszczególnych pozycji. Zresztą wystarczy wymienić najważniejszych autorów i tytuły ich prac. W październikowym zeszytach piszą: Alfred Bocheński (Zagadnienie realizmu i patriotyzmu w polityce), Franciszek Ksawery Walter (Legenda i prawda o śmierci), Kazimierz Michalowski (Jak powstała kultura), Tadeusz Sinko (Antyczne pochodzenie makym i przyszłość polskich), Zygmunt Mysłakowski (Zielony koń, czyli coś nie coś o poglądzie na świat), Władysław Tatarkiewicz (Przyjemność i zwruszenia), Marja Grzywa-Dąbrowska (Naród niemiecki w świetle psychologii), Włodzisław Zonn (Artykuł niepowinny o planecie ziemi i ludziach ją zamieszkujących) i inni. Kto chce pismo zobaczyć, na pewno nie przeczyta.

Z omawianych tu już szerzej pism typu mecenatowego zwrócić należy uwagę na nowe zeszyty miesięczników „TWÓRCZOŚĆ” i „TEATR”. W zeszytach 5-tych „Teatru” w dalszym ciągu ankiety na temat recenzji teatralnej zabierają głos Tadeusz Breza i Wanda Melcer. Poza artykułem Kazimierza Czachowskiego o Lorentowiczu jako krytyku teatralnym, wprowadzającym w pracę Państwową Rady Teatralnej, dwugłosie o „Penelopie” Morstina i normalnymi sprawozdaniem zeszłego roku jest trochę szkieletowski. Mieczysław Rulikowski pisze bowiem o Szekspirze na scenach polskich, następnie podany jest wykaz zgłoszonych przez poszczególnie teatry do tegorocznego konkursu szekspirowskiego sztuk, a uzupełniają ten dział ilustracje ze sztuk Szekspira już w Polsce po wojnie wystawianych (szkoda, że bez nazwisk aktorów). „Twórczość” interesująca jak zwykle. Na uwagę zasługują w tym zeszycie rozważania o poezji: Karola Irzykowskiego „Materia poezyi” i Czesława Miłosza „List półprywatny o poezji”. Ponadto wydrukowana jest w całości sztuka dwuaktowa Stefana Flukowskiego o Zygmuncie Auguste „Chwila królewskiej niemocy”. Poezję reprezentują przekład Miłosza za poematu Thomasa Searnsa Eliota „Jalowa ziemia” oraz wiersze St. Pięta, J. B. Ożga i Stan. Marcza. Oborskiego, prozę opowiadanie Kornela Filipowicza, w którym autor bardzo dyskretnie i z umiarem przedstawił w pierwszej części pełną niesamowitej grozy sytuację, podobną do tej, jaką mamy na naszej potrakowanej w opowiadaniu Putramenta „Święta kula”, oraz przemówienie Jerzego Sawickiego w procesie Greisera. Zwraca też uwagę szkic Kazimierza Wyki o innych, uprawianych poza sztuką poetycką „sztukach” Norwida.

Przez wspomniany tu „Twórczość” utwor sceniczny Flukowskiego znajdujemy nawiązanie zupełnie osobliwe do innego cennego miesięcznika, mianowicie do „PRZEGŁADU ARTYSTYCZNEGO”, organu Zw. Polskich Artystów Plastyków. Tu bowiem znajdujemy jakby pierwszy akt dwuaktowej sztuki o Zygmuncie Auguste „Chwila królewskiej niemocy” przynosi bowiem dzieło przedśmiertnie nocy króla, który w jej ciągu ob esygnie powraca do swoich licznych w życiu miłości, z których zapomniał nie może jednej, tej zaznaczonej w młodzieńczych latach w Weneccji, której przełotna bohaterka była tycjanowska Flora. Ona właśnie jest główną postacią jednoaktowej sztuki „Gwiazda dwóch horyzontów”, której pierwszą część drukuje nr. 10 „Przeglądu Artystycznego”. W istocie te dwa utwory nie stanowią bynajmniej trzaktowej całości dramatycznej, ale w teatrze powołaniem mogłyby wypełnić jeden wieczór. Dramat Flukowskiego, to dramat poetycki, subtelny i bogaty, ale daleki od kanonów sztuki dramatycznej i nawet jakby świadomie nie liczył i z wymaganiami sceny. Flora jest tutaj daleką reinkarnacją Afrodyty, głównymi postaciami scen o Zygmuncie Auguste rozbitych nawet jakby na dwa wakti są personifikacje Thanato i Hypnosu, bogów śmierci i snu. Mimo wszystko scena by tym dwóm utworom

nie zaszkodziła. Poza tym wracając do „Przeglądu Artystycznego”, o którym mało się u nas wspomina i wie, trzeba powiedzieć, że jest to u nas jedyne pismo poświęcone zagadnieniom sztuki plastycznej, utrzymywane poza tym na poziomie do tatecznej popularnym, by oddziaływać wychowawczo i kształcąc w swym zakresie. Cechuje je szeroki wachlarz zainteresowań artystycznych (literatura jest ciekawie reprezentowana przez utwory związane z malarstwem), dobre artykuły, obszerny materiał ilustracyjny, obejmujący i dzieła dawnych mistrzów i twórczość artystów współczesnych.

Jeśli mówić się tak szeroko o pismach korzystających z różnych mecenatów, warto wspomnieć także i o jednym z tych, które żadnym mecenatem wylicytować się nie mogą i o co odczuwają to w sposób dosyć przykry. Do tej grupy należy katolicki tygodnik społeczny „Dziś i Jutro”. Nieprzeczony do żadnego wydawnictwa ani nawet pomimo podtytułu do żadnej kurii żyje sobie jakoś choć nie bez trudu. Ale za to jest tym pismem, któremu kierunek nadaje wyłącznie sama redakcja, zna tylko jedną zależność, mianowicie zależność od idei, której służą ludzie tworzący to pismo. „Dziś i Jutro” jest pismem więcej społecznym niż literackim, a rubryką „Szeroki horyzont” zblża się nawet do typu popularnego magazynu. Głos zabierają tu wybitni publicyści katolicki, występujący często i w „Tygodniku Powszechnym” i „Tygodniku Warszawskim”. W części literackiej proza reprezentowana jest mocniej, poezja słabiej, często spotyka się cenne i bardzo trafne recenzje (zwłaszcza z powieści), a kronika kulturalna prowadzona jest żywo i z temperamentem, podobnie jak i rubryki „W świecie” i „W kraju”. „Dziś i Jutro” polemizuje często i śmiało. A także i celnie, choć kto wie, czy skutecznie. Ale to już nie winna redakcji.

(kl)

Tydzień Katowic

7. XI. — 13. XI. 1946

ŻYCIE MUZYCZNE

10. XI. Na poranku symfonicznym Polskiego Radia wykonała orkiestra symfoniczna Kurpińskiego — uwerturę do op. „Królów Jadwiga”, Fr. Li zta — fantazję na temat pieśni Szuberta „Wędrowiec”, Liryczne miniatury Griega i Czajkowskiego — Kaprys włoski. Orkiestrą symfoniczną Pol'kiego Radia dyrygował Witold Kaika-Rowicki, solistką poranku była Olga Łapicka (fortepian).

10. XI. W ramach V-go koncertu popularnego, poświęconego muzyce słowiańskiej, Orkiestra Filharmonii katowickiej pod batutą prof. Z. Dymka wykonała poemat symfoniczny Smetany — Vyschrad, Różyckiego — Tańce góralskie, Czajkowskiego — Marsz słowiański, Szkie kankaskie — Impol'ow, Iwanowa i dwa tańce słowiańskie Dvoraka. Solista koncertu p. Zofia Belewiczowa (śpiew) wykonała arie z opery Sadke-Rim-kij-Korsakowa, arie Zuzi z op. Verbum Nobile Montuski i Pieśni śląskie Nowowiejskiego.

ŻYCIE LITERACKIE

Powrót Gustawa Morcinka

5. XI. Gustaw Morcinek wrócił do kraju. W sobotę, 9. XI. znany p'arz śląski przyjęty był lampką wina przez Związek Zawodowy Literatów Polskich, a 11. XI. w ramach VII-go wieczoru Klubu Literackiego odbyło się uroczyste powitanie Morcinka przez społeczeństwo Katowic. G. Morcinka powitał prezes Klubu, ob. Markowski. Po odpowiedzi autora „Wyrabnego chodnika”, Zdz. Hierowski wygłosił odczyt, w którym zapoznał słuchaczy z dotychczasowym dorobkiem literackim Morcinka. Na

Najbardziej szanowaną legitymacją w Niemczech jest czerwona legitymacja uznanych w drodze weryfikacji ofiar faszyzmu. Ofary te, oznaczone skrótem Odf, spotykają się nie tyle z szacunkiem ze strony Niemców, ile z uzasadnionym lękiem przed odwetem w jakiegokolwiek formie. Co prawda w gronie trzystu tysięcy, bo tytu jest uznanych Odf-ów, znalazło się bardzo wiele przypadkowych „ofiar”. Ot, doniesiono na kogoś, że powiedział to i tamto. Doniesienie było nieprawdźwe, ale ten ktoś, powiedzmy prawdziwy nawet zwolennik Hitlera, przesiedział kilka albo kilkanaście miesięcy w Schutzhaftce. Zwolnienie z Schutzhaftu służy mu odtąd jako prawo wejścia w szeregi Odf. W ten sposób do Odf przeniknęło wiele elementów, których martyrologia była przypadkowa i bynajmniej nie wypływała z poglądów. To też skład jakościowy Odf jest naprawdę różny i z rezerwą tylko należy mówić o antynazistowskiej jedynomyślności w szeregach Odf. Tego rodzaju zastrzeżeń nie czynili na lamach prasy niemieckiej, ale znając sposób przyjmowania do organizacji Odf i wiedząc, ile prawdziwych i gorliwych wyznawców Hitlera znalazło się przypadkiem w więzieniu, za byle jakie uchybienie w służbie, które podpadało pod „sabotaż” lub „nastawienie antywojenne”, wiedząc także, że ta przypadkowa kara nie zawsze oczyszczała poglądy polityczne — mogły takie zastrzeżenia wysuwać. Wprawdzie jednym z celów organizacji Odf jest także demaskowanie tych wszystkich swoich członków, którzy w więzieniu czy obozie działali na szkodę współwzięniów lub wysługiwali się zbyt gorliwie władzom więziennym i obozowym, ale już w tej chwili członkowie Odf powiązani są tyłoma niciami wzajemnych interesów, od materialnych począwszy, a na politycznych skończywszy.

Właśnie chodzi o to polityczne. Władze alianckie postanowiły złożyć w ręce Odf-ów cały ciężar zburzenia prawdziwie demokratycznych władz nowych

zakończenie wieczoru Tadeusz Staich recytował fragmenty twórczości Morcinka. Wieczór zapisał się na długo w pamięci jak nigdy licznie zgromadzonej publiczności.

KONFERENCJE, AKADEMIE

7. XI. W Rozgłosz Polskiego Radia odbyła się inicjatywny Dyrekcyj konferencja, poświęcona zlotowemu programowi P. R. Na konferencję przybyli dość licznie przedstawiciele prasy, partii politycznych, organizacji, związków, zrzeszeń, nanczytelstwa itp. Na wstępie zebrani entuzjastycznie powitali przybyłego na konferencję prof. Ligonia, który też został wybrany przewodniczącym zebrania. Po krótkim zagaleniu dyrektora Rozgłoszeń, red. Burczaka, dwa referaty na temat programu wygłosili kolejno p. Młynarski — naczelny dyr. programu P. R. i p. Petruczynski, dyr. programu Rozgłoszeń Śląskiej. W dyskusji zabierali głos kolejno: red. Sokolowski („Gazeta Robotnicza”), dyr. Lutman, red. Markowski (z ramienia OZPW), ob. Kłuczyński (O. K. Z.), red. Werner i inni.

10. XI. W Teatrze Śląkim odbyła się akademicka uczta poległych w obronie niepodległości.

WYSTAWY

10. XI. W Salonie wystawowym przy ul. Dworcowej 13. otwarta została wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki. Organizatorem wystawy jest Zarząd Zawodowego Związku Pol'kich Plastyków w Katowicach. Z okazji otwarcia wystawy przemówienia wygłosili z ramienia Związku Plastyków art. rzeźbiarz Marcinow, prezydent m. Katowic — Garwiński, z O.K.Z.Z. — Piecha i z ramienia Z.Z.L.P. — Hierowski.

M. M.

Teatr Ziemi Opolskiej

„CIEN” — D. NICCODEMI'EGO

Opolska Helena Preville miała sztuczne rzęsy: wielkie u oczu „franki”, tak wielkie, że sztuczne rzęsy przełonij oczy prawdziwej pani Preville i wbrew intencji autora sylwetce opolskiej aktorki nadały cechę lekkomyślnej damy z półświatka. Niepo rozumienie to wynikało z braku należytej analizy tekstu, nie dodatno zaznaczyło się też na rozwoju właściwej myśli utworu.

Helena Preville kocha, chce być kochaną, i Helena nie jest lekkołuchem w sprawach miłości. Daje Gerardowi dziecko, i w dziecku kocha Gerarda, a „zrada” — jaką popelnia wobec „paraliżowanej” przyjaciółki staje się zagadnieniem, nad którym można dyskutować. W dramatycznych konfliktach z potencjałem sztywnych zaad etycznych i obowiązków wobec chorej i niedołężnej żony Gerarda, jest postacią mimo wszystko sympatyczną, i w ramach scenicznej kompozycji włoskiego majstra, Helena przedstawia wartość pozytywną, subtelna i złożoną.

Nieporozumienie, jakie wynikało z błędnego naświetlenia tej postaci, pogłębił aktor grający męża sparaliżowanego Berty.

W życiu Gerarda, i w jego stosunku do żony, Helena nie jest tylko „taką, czy inną przysgodą”. Jest przede wszystkim matką jego dziecka, — w niej też

zdrowy mąż chorej żony odnajduje taki wymiar życia, jaki może dać tylko zdrowa kobieta mężczyźnie, którego kocha i który ją kocha. Sprawa uczucia, jakże Gerard zachowuje dla Berty, nie jest zagadnieniem szczerze potraktowanym w problemie „Cienia”, i na ile tych właśnie przełank zagadnienie to nie powinno obowiązywać aktora w sferach domowego życia Gerarda i Heleny. Nie leży to w założeniach autora.

W ujęciu opolskim, sceny z Heleną (w pracowni) obciążone były konwenansem i brakiem szczerości. Rozwijają się „ubocznie, marginesowo” i tak przekornie nie podtrzymują narostu komplikujących się sytuacji, że dramatyczne wejście Berty do pracowni męża, (po długich latach choroby w fotelu), rozegrało się w atmosferze niemal nudnej fabuły scenicznej.

W roli „Cienia”, sparaliżowaną żonę Gerarda była St. Mazarekówna. Grała inteligentnie i przekonywująco. Jeśli jednak i w grze tej artystki można dopatrzeć się nie zawsze równej linii rysunku, kładziemy to na karb raczej zdecydowanej apatii jej scenicznym partnerów, szczególnie w akcie I.

Ze scen, które zwróciły naszą uwagę, na wyróżnienie zasługują doskonały, pełny żywoty iły wyraz, dialog między Bertą a Heleną, w akcie III. Dobry również, bo zwarty i fonetycznie pełny, akt III.

W. Houszek.

Patrzmy na ekran

Ostatnio miało nasze stoł pod znakiem filmów sowieckich, i to trzeba przyznać dobrych. Odnosi się to tak do filmów „Daleka droga” (kino „Casino”), jak i do „Dzieciństwa Gorkiego” (kino „Słońce”), „Samotny żagiel” (kino „Zorza”) oraz „Cztery serca” (kino „União”).

Na czoło ch wysuwa się „Dzieci two Gorkiego” — obraz pełen ekspresji i wstrząsającego realizmu. Aktor ko bardzo na poziomie.

„Daleka droga” to film przedstawiający podróż rosyjskiego statku szkolnego „Witezia”. Ten daleki rejs tal się walcidą szkołą życia, w której człowiek poznaje swą właściwą wartość i uczy się umiejętności społecznego życia. Technicznie film ciekawy. Pewne usterki (jak np. mało przekonywująca „egzotyka” morz południowych) — nie razią zbyttno.

Jak zwykle przy okazji podamy garść wiadomości o zagranicznym życiu filmowym. Jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone, to z nowowyprodukowanych filmów należy wymienić film Paramountu pt. „Dwa lata” i film z Gary Cooperem (tytuł jest ustalony) z życia zpliga we Włoszech (produkcja Warner Brothers). Columbia przedstawia ciekawy film pt. „Życie Jonsona”, które obrazuje karierę znakomitego aktora Al. Jonsona, znanego u nas z filmu „Sonny Boy”. Rol tytułową gra młody aktor Larry Parks. Obwieńcie znowu wraca moda w Hollywood na filmy niesamowite. Po Belli Lugosi, Lon Chaney'u i Borysie Karlofice, wybija się w tych filmach Lon Chaney junior. Młody

Chaney stał się obecnie bardzo popularną osobistością w Ameryce, jako „syn Frankenstein’a”.

Odnowiając swoją przysłała nieco popularność dwaj znani partnerzy spod wesołego znaku: Laurel i Hardy (Flp i Flap). Wyprodukowali oni obecnie nową, bardzo zabawą komedię pt. „Wielki gwałt”. Z pierwszym filmem powojennym wystąpiła również w Ameryce Marlena Dietrich. Tytuł tego filmu „Złote zausznice”. Partnerem Marleny jest tym razem Ray Milland. Również znany tancerz i aktor filmowy amerykański Fred Astaire ma nową partnerkę. Jest nią o Olga San Juan. Zobaczymy ich w nowym kolorowym filmie muzycznym pt. „Błektne niebo”.

W Europie również praca przy nakręcaniu filmów idzie pełną parą. Wytwórnie francuskie, ażełskie i czeskie produkują cały zereg filmów. Niektóre z nich niedługo powinniśmy zobaczyć i na naszych ekranach.

Przy okazji pytania nieśmiało, co słychać z polskim filmem długometrażowym pt. „Zakazane piosenki”. Czy nie zmieniono w międzyczasie tytułu? A może trzeba rehabilitować aktorów? A może zmieniono decyzję co do wyprodukowania tego filmu. W każdym razie czekamy na odpowiedź. Im niedżej, tym lepiej! Na zakończenie dołna uwaga. Z filmu „Cień zło” czynności nie mogliśmy jeszcze dać „prawdowania, ponieważ kasjerka kinoteatru „Zorza” nie uważała za stosowne wydać karty wstępu na nasze passepportu nawet na półtorej godziny przed rozpoczęciem seansu, mimo że bilety nie były jeszcze sprzedane. Albo,

Niemiec. Władze alianckie spodziewają się, że dzięki Odf-om uda się w Niemczech pogłębić demokrację i rozprzecznić ją równocześnie szeroko na wszystkich płaszczyznach życia niemieckiego. Bo władze alianckie pamiętają powiedzenie jednego z generałów amerykańskich z ubiegłego roku, że Odf to najbardziej zasłużeni dyplomaci niemieckiego narodu. Odf kwapiwie to powiedzenie pochwycyli i w wielu okręgach wypisywały je sobe na legitymacjach członkowskich.

Na kongresie Odf-ów, jaki niedawno odbył się w stolicy Niemiec, ogłoszono program pracy. Odf mają zostać organizacją ponadpartijną, sprawa wyznawania takiego lub innego programu politycznego to indywidualna sprawa sumienia. Natomiast Odf jako jedyni i najprawdźwszej demokracji niemieccy — ogłoszono z trybuny kongresowej — powinni z szeregu swych wybrać najbardziej aktywnych członków i oddać w ich ręce kierownictwo organizacji stref. Odf — powiedziano dalej — stworzy rząd niemiecki, przebudując administrację niemiecką na razie na płaszczyźnie jednej strefy i przechodząc później do planowania centralnego. Odf cieszy się zaufaniem władz okupacyjnych we wszystkich strefach okupacyjnych i jej członkowie muszą dać podstawę pod skład personalny nowego niemieckiego rządu.

Takie są marzenia i oblicze Odf. Nie są to marzenia bez podstaw, władze alianckie istotnie pragną oddać rządy Niemiec w ręce tych „wyprobowanych demokratów”, bo przecież trudno takim nie być (jak myślą Anglosasi), skoro się było mecenikiem narodowym. Takie uproszczone anglosaskie myślenie, świadczące o tym, że daleka im jest skomplikowana sytuacja psychiczna Niemca, szukającego jedynie właściwej drogi do odbudowania jako takiej potęgi Niemiec, takie myślenie zaczęło już nad wstępnymi pracami do zorganizowania centralnego rządu niemieckiego.

Akeja niemiecka zatoczyła szerokie kręgi. Od Odf-ów po prostytutki, wszystko stała się kształtować poglądy zwycięzców na Niemców, ich snrwy, ich sąsiadów, ich interesy bliskie i dalekie. Odf robi narodzi niemieckiemu markę mecenika. Już wkrótce nie będzie się mówiło o Niemcach jako o narodzie morderców i wielu milionów militarystów, ale jako o narodzie trzystu tysięcy tragicznych i bohaterkich zarazem ofiar okrutnego faszyzmu. Przemiała ta jest coraz bardziej widoczna. Już powiedział jeden dziennikarz amerykański w „New York Times”, że wierzy w odrodzenie narodu więźniów politycznych. Meceństwo trzystu tysięcy, czasem jak wykazałem zupełnie przypadkowe i niestrawne, odkupi wkrótce winę osiemdziesięciu milionów. Nieprawdopodobne ale prawdziwe, dziełce są na naszych oczach. Dzię się, że pra a polska tego zagadnienia dotąd nie dojrzała, przecież jego rozwój może nas zmusić wkrótce do zmiany kierunku naszej niemożliwej publicystyki. Możnna robita niemiecka na naszych oczach odwraca całą epokę zbrodni, która przedzie szybko do historii, nad którą si nikt już nie wzrusza, najwyżej jakiś sentymentalny pisarz, szukający tematu. I znowu wracamy do prasy amerykańskiej, sygnalizującej skutki tej tohoty. W „New York Times” napisano do łownie: „Świat będzie się czuł szczęśliwy, jeśli o zbrodniach Hitlera będzie mógł mówić już tak samo spokojnie i bezgłami tnie, jak mówi się dziś o zbrodniach Nerona. Czy ktoś zamierza karać dzisiejszych mieszkanców Rzymu za Nerona? Nie, to byłoby śmieszne. Tak samo będzie śmieszne, jeśli ktoś będzie karał lub wypominąć intruzom już pokoleń niemieckiemu zbrodni Hitlera”. Ameryka, kraj niebezpiecznych uproszczeń politycznych, zwraca nam tym samym uwagę na sprytną, długodystansową robotę Odf.

A obok Odf — prostytutki, niemieckie dziewczyny, eleganckie aktorki i młodzieńkie studentki. Fraterni, zaci tylko dla czekalady? Śmiesznością byłoby tak sądzić. Rzeczowe i szużne uwagi na ten temat drukował niedawno katowicki „Dziennik Zachodni” w reportażach swego wysłannika na teren Niemiec Jana Rakocznego. Szczebięca Niemka, mając wprawdzie usta wychane doskonałą czekoladą, ma równocześnie główkę wyinfloną wyczynowymi nakazami. „To trzeba powiedzieć, ten naród oszalał”, Rakoczy podłuchał jedną z takich rozmów. Niemka pochodziła z Sudetów, to też co niemiara nagadala na Czechów. A robita to z wdziękiem i urzeczony Amerykanin, znający dotąd Czechów z geografii, poznawał ich z bliska i zdaje się, że n'e już tego jego pierwszego „zestknięcia się” z Czechami poprzez snikienkę Niemki nie zetrze. Jak przyjemnie uprawia się politykę przy czekaladzie — można by strawstować popularną dziś piosenkę niemiecką, śpiewaną w kabaretach. „Mein Gott, wie schoen und gemuetlich spricht ein Schokoladenmund...”

W pierwszych dniach listopada znaleziono w podherliskim Grunewaldzie trupa 29-letniego kapitana brytyjskiego G. Williama Dickinsona obok 19-letniej Niemki Steffi Lehmann. Niemka miała biżuterię przy sobie zatem mord nie miał podłoża rabunkowego. Jacyś niemieccy zapaleńcy, ci sami co to od czasu do czasu ostrzygali głowę co gorliwie kochance Amerykanów, postanowili w ten sposób zaprotestować przeciwko fraternizacji. Jak się w odpowiedzi na to zachowała prasa niemiecka? Napisała, że takie morderstwa podwójna głupota. Bo po pierwsze pozwalają wejść jeszcze myślenie Angloasom o Niemcach jako o mordercach, a po drugie „fraternizacja jest nam potrzebna, bo ona uwalnia sady anglosaskie o Niemcach”. Prosto i prawdziwie. Kto ma jeszcze złudzenia?

W ubiegłym roku nie fraternizowały się prawie wcale studentki. Duch uniwersytetów niemieckich zwalczał fraternizację jako zbrodniczą przeciwko narodowi niemieckiemu. Dziś studentki niemieckie, trzymając dotąd w karkach „moralność narodową” swe towarzyszyki i koleżanki, inne mała przekonania. Fraterni, zować trzeba się, ba — dochodzi do tego, że radowi Niemiec składa w ten sposób na ołtarzu ożywny nierz już swoją ołrkę, narzeczoną czy żonę. Nie wiadomo, co tu podziwiać, patriotyzm czy przebiegłość?

Skoro jesteśmy przy uniwersytecie, n'e od rzeczy będzie podać, kto studuje na uniwersytecie berlińskim. B dzie to równocześnie przewodnikiem po innych uniwersytetach niemieckich, gdzie skład studentów jest podobny. Z jedną oczywiście poprawką, mianowicie na uniwersytetach w zachodnich strefach okupacyjnych weryfikacja polityczna studentów nie jest tak o tra jak w Berlinie.

A więc na semestr zimowy dopuszczono 1362 studentów. Z tego 311 pochodzi z rodzin robotniczych, 47 z synowie i córki chłopów, 277 — urzędników, 167 — rzemieślników, 312 — pochodzi z rodzin intelektualistów i 248 z innych zawodów. Na fakultecie pedagogicznym zawód oia jest 87 — robotników, 8 — chłopów, 8 — urzędników 56 — rzemieślników, 27 — zawody intelektualne, 64 — inne zawody. Były stosunek do wojska u nowo-ryzytujących studentów wyraża się następującymi cyframi: 15 oficerów, 703 żołnierzy, 644 nie było w wojsku. Z nowoprzyjętych 315 nie ma jeszcze 20 lat 634 między 20 a 25 rokiem życia, a 413 ma powyżej lat 25.

Na margine ie tych cyfr dodam, że na uniwersytetach w strefach okupacyjnych zachodnich ogólna ilość studiujących byłych oficerów wynosi ponad dwa tysiące.

Redaguje i k miter. Redaktor naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 925-58. Adres administracji: ul 3 Maja 12. Ogłoszenia przyjmują Sp. Wyd. „Czytelnik” ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik” R 23146